



158



J. Sobociński

NOWELE

NOVELL

WŁODZIMIERZ PERZYNSKI

# NOWELE



LWÓW — 1909

NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ B. POŁONIECKIEGO

WARSZAWA: E. WENDE i Sp. (T. HIŻ i A. TURKUŁ).



947-2b.1

WYTŁOCZONO W DRUKARNI „SŁOWA POLSKIEGO“, POD ZARZĄDEM  
J. ZIEMBIŃSKIEGO W ROKU MCMIX.



## ZBRODNIA.

O d trzech dni nic nie jadłem i, jak cień, snułem się po porcie, czekając chwili, w której, straciwszy przytomność, padnę na bruk. Wiedziałem, że chwila ta nadejść musi i pragnąłem jej nawet, pojmując, że to jedno mogłoby położyć kres mojej męce.. Ale zarazem bałem się utraty przytomności. Lękała mnie myśl, że gdy upadnę, wnet zbierze się dookoła mnie tłum ciekawych ludzi, którzy mi wydrą z oczu tajemnicę mojej śmierci. A ja nie chciałem, żeby oni wiedzieli, żem umarł z głodu. Tak strasznie nienawidziłem ich wszystkich.

Port był duży i zjeżdżały się do niego okręty ze wszystkich stron świata. Szereg potwornych stalowych cielsk wygrzewał się na słońcu wzdłuż kamiennego bulwaru wybrzeża. Morze i niebo miały jedną barwę i zdawało się, patrząc na nie, że świat zamknięty jest w błękitnej kuli, pełnej rozpylonego słońca. Ponad stłumionym gwarem ludzkich głosów, który kołysał się w powietrzu, warczały przeciągle ciężkie łańcuchy wind.

Pamiętam, z jaką nienawiścią wsłuchiwałem się w ich ponury zgrzyt. Zdawało mi się, że to warczy tak praca, złe bezmyślne zwierzę, tuczące się krwią ludzką.

Raz po raz robiło mi się ciemno w oczach i musiałem szukać oparcia, żeby nie upaść. Zdradziecka pokusa wiodła mnie podstępnie na sam skraj bulwaru. U mych stóp senne fale rozbryzgiwały się z cichym, pieszczotliwym pluskiem. Zdawało mi się, że mnie wołają po imieniu. Patrzałem na wodę, na śnieżne koronki pian, które się plotły wzdłuż poczerniałych, od wilgoci kamieni i o jednym tylko myślałem: jak tam musi być dobrze i cicho. Nakarmiłaby mnie i napoiła ta błękitna woda... Wyobrażałem sobie, jakby jej toń rozwarła się podemną, jakbym zasnął w sitowiu miękkich traw.

Ale skoczyć nie miałem odwagi. W moich oczach poprzedniego dnia jacyś ludzie, podobni do katów, wyłowili trupa z wody. Wielkimi hakami ciągnęli go na łódź. A ja patrząc na to z bulwaru, groziłem im pięściami i gryzłem w bezsilnej złości usta do krwi. Wiedziałem, że i mnie wyłowiliby tak samo. Leżałbym potem na kamieniach, a tłum uczciwych marynarzy i pracowitych robotników przypatrywałby się moim zwłokom z migotliwą radością w oczach: To ten, co za któregoś z nas umarł z głodu. Nie chciałem dać im tej radosnej chwili.

Jakiś błyszczący przedmiot zaświecił mi nagle pod nogami. Schyliłem się, aby go podnieść. Było to niewielkie lustro w cynowej oprawie. Przybliżyłem je do oczu i ujrzałem swą twarz. To jestem ja! — krzyknąłem rozpaczliwie, ciskając lustro o bruk. Paru przechodniów obejrzało się za niem, ale wszyscy szybko odeszli. Przypuszczali zapewne, że jestem pijany, albo wariat. A ja zanosłem się od śmiechu, aż mi łzy poczęły napływać do oczu. Dowiedziałem się, spojrzawszy w lustro, że jestem trupem. Oczy moje nie miały

blasku, na powieki powystępowały sine plamy. Dotykając palcami twarzy, czułem, że już mi mięso odstaje od kości. Cuchnęła już odemnie zgnilizna rozkładu.

Ktoś ujął mnie za ramię i popchnął silnie przed siebie. Chciałem się rzucić na niego, ale powstrzymała mnie myśl: „Już jestem trupem“. I poszedłem naprzód sztywnym krokiem, nie zginając nóg w kolanach, z rękoma, nieruchomo wyprężonemi wzdłuż ciała. Zdaje mi się, że jakieś dziecko uciekło z płaczem przedemną, że konie, ciągnące ładowny wóz szarpnęły w bok. A mnie jedno dziwiło jeszcze tylko: że mogę iść. Jestem trupem, — powtarzałem rytmicznie w takt kroków, — a mogę chodzić, więc jestem nieśmiertelny.

Zmierzch już zapadał nad morzem. Na dalekim horyzoncie wykwitły z wody białe żagle rybackich łodzi, powracających z połowu. Były podobne do czarodziejskich kwiatów. Morze głośniej poczęło szumieć i rozpląkały się nagle mewy. Przyśpieszyłem kroku, pragnąc uciec przed ich żalonym krzykiem. Począłem biedz. Niewiem, skąd się tu wzięło we mnie tyle siły. Ale-m biegł, chcąc się skryć jaknajdalej przed gwarem portu i szumem morza. Zdawało mi się, że gdzieś tam czeka na mnie otwarty, świeżo wykopany grób, pustka, w której nie będą mogły mię już odnaleźć spojrzenia żywych oczu ludzkich.

Naraz potknąłem się o kamień i upadłem. W pierśiach zbrakło mi tchu. Całe życie, jak wizya senna, przesnuło mi się przed oczyma. Lecz to nie był jeszcze koniec mej męki. Oprzytomniałem po chwili i otworzyłem oczy. Doznałem wrażenia, jakgdyby ktoś chłodną dłonią popchał mi serce, tak jak się popycha wahadło zegara — i znowu zaczęło bić. Nie miałem

już sił, żeby powstać! Przyczołgałem się do przydrożnego rowu i usiadłem pod krzakiem.

Zmierzch zapadał coraz głębszy. Słońce, jak wielka ognista kula, wisiało ponad morzem. Wpatrywałem się w nie szeroko rozwartymi oczyma: jego blask nie raził już moich trupich źrenic. W oddali dachy domów i kościelne wieże rozplýwały się w złotoróżowej mgle zachodu. Niewypowiedziana cisza objęła świat, jak-gdyby ziemia straciła oddech w uścisku ostatniej pieszczoty słońca.

I ta cisza kołysała mię do snu. Nie widziałem już nic przed sobą, tylko wielką niebieską przestrzeń z czerwoną plamą słońca. Położyłem dłoń na sercu i uczułem, że bije coraz słabiej. Ucieszyło mię to. Strasznie poczynało mię już męczyć to ciągłe, uporczywe kołatanie serca. Czekałem, aż ucichnie zupełnie.

Było mi dobrze.

Zbudził mię nagle dziwny śpiew. Obejrzałem się przerażony. Pustą drogą szła młoda dziewczyna. Była podobna do zjawiska. Wydało mi się, że zapach rozkwitających bzów owiewa ją dookoła i że złota aureola świeci nad jej głową. Nigdy w życiu nie widziałem tak cudnej dziewczyny. Szła zamyślona, patrząc w zachód słońca. Odgadłem, że marzy o kochanku.

I uczułem, że znowu serce poczyna bić mi głośniej. Koło mnie leżał ciężki, ostry kamień. Ująłem go pieszczotliwie dłonią, modląc się o cud. I cud stał się: ramię moje nabrało nagle stalowej sprężystości; z cichym, złowrogim świstem zatoczył kamień półkole w powietrzu.

Piosnka umilkła.

Wyczerpany wysiłkiem, straciłem przytomność. Gdym ją odzyskał, była już noc. Wielki, żółty księżyc

świecił na niebie, w oddali migotało miasto tysiąc-  
nemi światłami.

Wyszedłem na drogę. Dziewczyna leżała blada,  
oblana krwią. Ach, jakże cudna była jeszcze po śmierci.  
Miesięczne światło pieściło jej ciało. Zdaje mi się, że  
ją musiał zabić na miejscu. Nie mogłem oczu oder-  
wać od jej zwłok. Z jakimś dziwnym uczuciem ra-  
dości i potężnej dumy, która mi wypełniała duszę,  
wpatrywałem się w jej martwą twarz.

Od zachodu płynęło po niebie parę białych obło-  
ków i wiał świeży rozkoszny wiatr. Ostatniem spoj-  
rzeniem pożegnałem trupa dziewczyny i powlokłem  
się przed siebie, pustą, białą drogą, która w świetle  
księżycy błyszczała, jak rzeka. Nie wiedziałem, dokąd  
mnie ta droga zaprowadzi, ale czułem, że znajdę przy  
niej gościnną gospodę, w której dobrzy ludzie dadzą  
mi chleba i wina. I szedłem, przyśpieszając kroku,  
ach! bo tak chciałem żyć.

## ZWYCIĘSTWO.

Położyłem się spać bardzo późno, zmęczony i zdenewrowany. Wogóle dzień ten nie należał do najmiłszych w mem życiu. Miałem mnóstwo przykrości i zmartwień, z których największem było to, że lekarze zabronili mi pić.

Zupełnie szczerze się przyznaję, że to było mojem najcięższem zmartwieniem. Trudno, ktoś pić musi. A właściwie nie tyle mię zmartwił ten zakaz, bo cóż łatwiejszego, jak go nie usłuchać, ile moja własna uległość. Pomimo całej pogardy, jaką czułem dla tych policyantów nauki wiedziałem, wychodząc ze szpitala, że już pić nie będę. Z taką furią zatrzaskałem za sobą drzwi od sieni, że wszystkie szyby o mało nie powypadały z ram, a portyer wybiegł za mną z krzykiem na ulicę. Wściekły postanowiłem właśnie odrazu pójść się upić. Ale kiedy wstąpił do narożnej kawiarni odwaga mię opuściła. I kiedy podszedł do mnie służący z zapytaniem, co będę pił, spuszczać oczy, żeby mu w twarz nie spojrzeć, wyszeptalem cicho:

— Proszę o szklankę mleka.

Obie policye porozumiały się ze sobą.

Nie wiem, czy to zdanie będzie dla wszystkich zrozumiałe. Postaram się możliwie najjaśniej myśl swoją wyłożyć. Jeśli mi się to nie uda, — trudno, nie jestem

literatem, tylko pijakiem, więc ścisłość myślenia nie obowiązuje mnie wcale. Piłem, ponieważ kocham wolność zupełną absolutną, tę, o jakiej marzą anarchiści. I uważam, że tylko człowiek pijany może mieć jej złudzenie.

Człowiek trzeźwy jest niewolnikiem aż dwóch społeczeństw: Jedno ma dookoła siebie, drugie w sobie. Społeczeństwo ludzkie i społeczeństwo myśli. Pierwsze nakłada mu kajdany obowiązku i obstawia armią policyantów, którzy mają czuwać nad nim, jak pastuch nad wołem, dźwigającym jarzmo. Oczywiście, mówiąc o policyi, nie mam na myśli jej surrogatu, to jest pachółków miejskich, którzy stoją na rogach ulic w mundurach i wojują z dorożkami. Prawdziwy policyant munduru nie nosi. Czuje nawet odrazę do tych mundurowanych podobnie jak parweniusz, zebrawszy majątek, nie cierpi widoku ludzi z ubogiej klasy, z której sam wyszedł. Prawdziwy z krwi i kości policyant nazywa się obywatelem a jego kodeks normą. Powiada przysłowie arabskie, że kto się nigdy nie upił szklanką wody nie wart jest, aby się upił szklanką rumu. Och, to przysłowie napewno wymyślił włóczęga. Bo obywatel wymaga, aby i pijak był pijakiem normalnym.

To społeczeństwo urządza świat. Chce, żeby domy były coraz wyższe, żeby ludzie coraz szybciej mogli przenosić się z miejsca na miejsce, żeby nieba coraz mniej było widać, żeby świat cały stał się jedną wielką manufakturą postępu i cywilizacji, a między ludźmi żeby zapanowała miłość powszechna, to znaczy, żeby wyzbyli się wszystkich swoich pragnień, żądz, uczuć, porywów, namiętności — innymi słowami — zbaranieli doszczętnie.

Cóż łatwiejszego napozór, jak się wyłamać z pod jarzma tego społeczeństwa. Ot, wziąć kij w rękę pew-

nego słonecznego poranku i pójść na wędrowkę nie oglądając się za nikim nie tęskniąc po niczem. Małoż jest karczem przydrożnych, gdzie można znaleźć w deszczową noc schronienie, i mało wśród traw źródeł, u których można wodą się upijać, leżeć i patrzeć w pogodny błękit, osłoniwszy oczy dłonią od blasku słońca. I myślom dać lotność motyli i figlarność małych, zielonych jaszczurek, które się gonią po kamieniach. Ale to tylko marzenie. Bo i w nas jest policya, policya, która czuwa nad tem, aby i myśli nie popełniały szaleństw. W interesie społeczeństwa ludzkiego leży, aby człowiek żył i był użyteczny, a to co się nazywa człowiekiem, małe nikczemne społeczeństwo nerwów i zwojów, zastosowuje się wnet do rozkazów potężniejszego organizmu, zupełnie tak samo, jak jakieś małe ksiąstewko płaszczy się przed wielkimi mocarstwami. I wysyła swoich łapaczów — centry hamujące na pościg nieokielzanych myśli.

I wlecze się życie szare, smutne, celowe, splecione z cierni drobnych, codziennych obowiązków i godziwych rozrywek. Zdaje mi się, że dyabeł nie mogąc wprost zniszczyć najpiękniejszego dzieła boskiego — człowieka, długo, długo myślał i wymyślił cnotę. Cóż to był za szatański pomysł!

I cóż tobie duszo po tem! Smutek tylko i niewola wieczna. Czyż nie lepiejby było umrzeć po pijanemu?

\* \* \*

Nie mogłem zasnąć. Była jasna księżycowa noc i przez okna mego pokoju nie zasłonięte firankami płynęło denerwujące zielonkowe światło. Poczem powoli z poza wysokiego komina przeciwległej kamie-



nicy ukazało się łysawe czoło księżycy. Wreszcie cała gęba, nalana i jowialna, możnaby nawet na pozór powiedzieć poczciwa, gdyby nie drobne zmarszczki koło ust, świadczące o złośliwości wrodzonej. Bo ten stary włóczęga to także łajdaczyna i pijak. Podejrzewam go, że się eterem urzyna. Ma czasem takie błyski w oczach.

Zresztą żyliśmy ze sobą bardzo dobrze. Powiem nawet, iż najlepiej się lubiłem upijać w te noce, kiedy wiedziałem, że on będzie na niebie. Czekał na mnie zawsze nieomal do samego rana i kiedy wracałem, zataczając się przez puste ulice dodawał mi do towarzystwa olbrzymich rozmiarów lokaja, który snuł się za mną nieodstępnie po białych ścianach kamienic. Był to jedyny służący, jakiego w życiu miałem. Ale wierny. Raz wprawdzie naraził mię na dużą przykrość. Byłem bardzo wesół i przyszła mi pusta myśl, żeby zatańczyć na ulicy. Po chwili spostrzegłem, że i on bestya tańczy. Co gorsza tłukł przytem głową w okno jakiegoś mieszkania na pierwszym piętrze. Obawiając się, żeby nie pobudzić ludzi — ostatecznie trzeba mieć względy i dla tych co sypiają po nocach, — zacząłem go głośno strofować. Ale już było za późno. Pachołek miejski zaprowadził nas obu na policję i za jego wybryki musiałem przespać noc na twardej, niewygodnej ławie.

Przyznam się, że kiedy księżyc wychylił się z poza komina i spojrzeliśmy sobie w oczy, głupio mi się na sercu zrobiło. Poprostu zawstydziłem się, że o tej porze widzi mię w mieszkaniu i w łóżku.

— Ha, cóż robić stary — wyszeptalem, unosząc się na pościeli. Trudna rada, zabronili mi pić. Nie patrz na mnie z taką pogardą. Ty wiesz najlepiej, że

jabym ani przez chwilę ich nie usłuchał, nie od wczoraj się znamy i wiesz, za czem dusza tęskni, ale mój instynkt samozachowawczy już powysyłał policyantów po mózgu. Czuwają nad każdym odruchem.

Księżyc uśmiechnął się tajemniczo.

— Wiesz przecież — zawołałem, unosząc się na trzeźwo, — pierwszy raz w życiu mi się to zdarzyło — wiesz, że jabym grosza złamanego nie dał za tak zwane życie, — ale czyż ja jestem panem u siebie w domu? Centry hamujące mną rządzą, — z nimi gadaj, bo ja jestem zerem, choć może i mam pozory absolutnego władcy. A zresztą, — dodałem rozgoryczony po chwili — nasza przyjaźń niema już sensu. Po co, na co? Świeć innym po nocach młodszym i odważniejszym. Ja jutro zaraz kupuję sobie roletę — wszak teraz starczy mi już pieniędzy i na takie wydatki.

Odwrociłem się twarzą do ściany, naciągnąłem kołdrę na głowę i próbowałem usnąć. Przeleżałem tak z kwadrans, ale sen nie przychodził. Byłem zanedo zdenerwowany. Przypomniało mi się, iż jednym z najlepszych sposobów na zaśnięcie jest mechaniczne liczenie w myśli. Zacząłem więc liczyć. Doliczyłem do tysiąca, do dwóch, do trzech — wszystko na próżno.

Nagle jakiś niezwykle szmer doleciał do moich uszu, jakby dźwięk szkła. Przywidzenie — wyszeptalem, nie chcąc wychylać głowy z pod kołdry, żeby się nie wybijać ze snu, ale szmer się powtórzył. Miałem teraz wrażenie, że ktoś bosy chodzi na palcach po pokoju. Dreszcz mię przeszedł.

Ktoś jednak najwyraźniej szedł i wprost w kierunku mego łóżka.

Gwałtownym ruchem odrzuciłem kołdrę i oczom

moim przedstawił się widok tak niezwykle, że w pierwszej chwili zdawało mi się, iż oszalałem.

Przetarłem oczy, raz i drugi, ale nie, to nie była halucynacja.

Pośrodku pokoju o kilka kroków od łóżka stała na kurzych łapkach wysmukła butelka koniaku. Trzy srebrne gwiazdki na jej podgardlu świeciły blaskiem żywych oczu ludzkich. Doprawdy, wpatrywały się we mnie jak oczy. Osłupiały, jakby zahypnotyzowany tem spojrzeniem, siedziałem nieruchomo na łóżku, a butelka skłoniła mi się zlekka, u ramion wyrosły jej ręce i cicho klasnęła w dłonie.

Na to hasło drzwi wejściowe uchyliły się łagodnie i jedna po drugiej długim szeregiem zaczęły do pokoju schodzić się butelki. Wszystkie na kurzych łapkach. Każda witała mię ukłonem i ustawiały się w rząd przed łóżkiem, jak żołnierze na mustrze. Cichy brzęk szkła wypełniał pokój i układał się w powietrzu w jakąś melodyę, pełną niewypowiedzianego czaru, jakgdyby ktoś daleko grał na szklanych skrzypcach.

Po pierwszej chwili oszołomienia i przestrawu wróciła mi przytomność umysłu, — ostatecznie wszystkiego mogłem się obawiać tylko nie butelek.

A melodia grała wciąż w powietrzu. Była łagodna i prosta, jak smutek duszy. Takiej pieśni nawet wino nie mogło ułożyć, — chyba dyabeł upił się haszyszem i nucił ją w piekle. Spojrzałem w okno. Księżyc oparł łysą czaszkę na wezgłowiu z białego obłoku i zaglądał ciekawie do mego pokoju. Ale już nie miał wyrazu zwykłego szyderstwa w twarzy. Był smutny i zamyślony. I na niego podziałał widocznie urok tej dziwnej, zaczarowanej muzyki.

Uczułem łzy w oczach. Nie płakałem. Łzy same

pływały mi po twarzy. Patrząc na te butelki, ustawione przedemną szeregiem, pojąłem, że to jest to wszystko, com wypił w życiu i że przyszło mi żegnać na wieść o nieszczęściu. Ostatni raz w jedną z tych nocy księżycowych, w które się tak lubiłem upijać, zaśpiewać dumę o wolności. Chciałem coś powiedzieć, ale usta zadrgały mi konwulsyjnie, głosu z gardła wydobyć nie mogłem. Wyciągnąłem przed siebie ręce jak do uścisku.

Tymczasem smukła butelka koniaku, która wiodła korowód znów klasnęła w dłonie. Pieśń ucichła. Po chwili odezwała się znowu, ale już inna ponura jak marsz pogrzebowy. Żegnając mnie niskimi ukłonami butelki ruszyły ku drzwiom.

Bez oddechu, z szeroko jak u trupa otwartymi oczami patrzałem, jak znikają w sieni.

Ich hymn żałobny oddalał się powoli, cichł na schodach. Wreszcie przedostatnia flaszka znikła. Już tylko jedna została w pokoju. Odwróciła się ku mnie, żegnając mnie tęsknem, ostatniem spojrzeniem.

Jak szalony zerwałem się z łóżka. Dopadłem jej jednym skokiem i chwyciłem w pól.

— Zostaniesz — wyszeptąłem, dusząc je w uścisku.

— Czyż mogłabym od ciebie odejść — odparła cicho.

Mieniła mi się w oczach w najcudniejszą kobietę, jaką widziałem w zyciu. Z krótkim, zdławionym spazmem śmiechu wyciągnęła ku mnie twarz. I usta nasze złączyły się w jadowitym pocałunku.

Jak płomień owionął mnie jej upajający oddech. Po chwili uczułem, że zwisa bezwładnie w mych objęciach. Pobladła. Wyssałem z niej życie.

## ZŁODZIEJKA.

Mieszkałem przez pewien czas w sąsiedztwie niewielkiego cmentarza. Był to jeden z tych cmentarzy nie na miejscu, jeśli tak można powiedzieć, jakie napotyka się czasami po wielkich miastach, przyczajone wśród zgiełkliwych i pełnych życia ulic i jakby zapomniane już i przez żywych i przez umarłych. Ale to opuszczenie właśnie wyciskało na nim piętno melancholijnego uroku, przypominał mi czemś starą pańską siedzibę, pełną wspomnień świetności minionych czasów. Dookoła piętrzyły się olbrzymie kamienice, upstrzone po szczyty dachów złotymi literami ogłoszeń, krzyczały z murów jaskrawe barwy handlowych afiszów, z sąsiednich ulic dolatywał codzienny gwar wielkiego miasta — turkot dorożek, dzwonki tramwajów, piskliwe sygnały automobilów, ale mimo ten rażący kontrast życia, sam cmentarz dawał zawsze wrażenie spokoju. Zwłaszcza w tych czasach, kiedy go odwiedzałem, a działo się to na jesieni — w pierwszych dniach października.

Złote i czerwone liście łagodnie opadały z drzew, wążąc się długo w powietrzu, ponad białymi pomnikami grobów, jak jakieś wielkie fantastyczne motyle. W ciche, słoneczne poranki staroświecki cmentarz nabierał niewypowiedzianego uroku, nawet kamieniarskie

aniowały z rozpuszczonymi włosami mieniły się jakoś w oczach pod dotknięciem promieni słonecznych — wszystko osnuwała słodka zaduma snu.

Przychodziłem tam codziennie — najczęściej z książką w ręce i nieraz zaczytawszy się przesiadywałem całe przedpołudnie na kamiennej ławce wśród grobów. Strażnik cmentarny, jakiś stary weteran z drewnianą nogą znał mię już z widzenia i zawsze witał zdaleka miłym uśmiechem. Był widocznie ambitny na punkcie swego cmentarza, który zrzadka już odwiedzali ludzie. A mną nie kierowała bynajmniej chęć poszukiwania nastrojów. Włóczęc się między grobami myślałem o wszystkim innym raczej, niż o zagadnieniach bytu i nicości. A to, że chodziłem codziennie rano na cmentarz, wynikało z przyczyn bardzo powszednich i prozaicznych — musiałem się gdzieś z domu wynosić, żeby dać czas sprzątnąć pokój, w zaludnionej zaś aż do obrzydzenia i zatłoczonej koszarowemi kamienicami dzielnicy, cmentarz ten był jedynem miejscem, gdzie rosło nieco drzew i można było znaleźć trochę swobodniejszej przestrzeni.

Zdaje mi się, że już nikogo na nim nie chowano, a przynajmniej rzadko bardzo, gdyż pomimo codziennych moich odwiedzin nigdy nie spotykałem pogrzebów. Odwiedzających również bywało niewielu, wszystko ludzie starsi, przeważnie kobiety, siwe, czarno poubierane staruszki, należące, jak to na pierwszy rzut oka od razu można było osądzić, do lepszych sfer towarzyskich. Słowem był to cmentarz arystokratyczny, o czym świadczyło i to, że był zawsze bardzo starannie utrzymany. Jak stary hrabia, który straciwszy fortunę dba jeszcze troskliwie o wygląd. Nad zapomnianymi zmarłymi czuwała konwencyonalna pamięć dobrego tonu

strojąc groby w wieńce i kwiaty. I mimowoli odnosiłem zawsze to wrażenie, że w dniu sądu ostatecznego ci nieboszczycy, którzy tam leżeli będą się trzymali razem i nieco oddzielnie.

Po pewnym czasie poznałem już ów cmentarzyk, tak jakgdybym był jego dozorcą. Wiedziałem do których zmarłych przychodzą w odwiedziny, a którzy są zapomniani zupełnie. Wśród nielicznych odwiedzających zwłaszcza odrazu zwróciła moją uwagę pewna staruszka o niezmiernie sympatycznym i ujmującym wyrazie twarzy. Spotykałem ją codziennie, przychodziła również systematycznie jak i ja. Tylko, gdy ja czytałem książkę lub wałęsałem się po alejach, usłanych jakby dywanem ze zwiędłych liści, ona cały czas spędzała na klęczkach modląc się przed grobem, który jak się dowiedziałem z napisu krył zwłoki młodej dziewczyny.

Przyglądałem się jej nieraz z daleka i wrzusał mnie jej ból, nieukojonny i świeży po tylu, tylu latach. Zachowywała nawet zewnętrzne jego oznaki, gdyż stale chodziła w żałobie z długim, czarnym welonem, który już zrudział od starości.

Dla tej staruszki uczułem żywą sympatyę. Domyśliłem się odrazu, że musi to być matka owej umarłej dziewczyny, z zaniedbanego staroświeckiego stroju wnioskowałem, że żyje w niedostatku i rozrzewniało mię zawsze, że dzień w dzień składała na swoim grobie wieniec, czy wiązanek kwiatów, a czasem w jakieś dni, które może budziły w niej żywsze wspomnienia, całe bukiety kwiecica. I wskutek tego ów grób sam przez się zwykły i skromniejszy od innych wyróżniał się jednak na cmentarzu przedziwnym wdziękiem — otaczała go tu bolesna pamięć serca, której wspa-

nialszym, lepiej przystrojonym i utrzymanym — brakło.

Odtwarzałem sobie w wyobraźni życie tej staruszki, dla której od śmierci córki przez kilkadziesiąt lat odwiedzanie cmentarza i kupowanie na grób kwiatów stało się jedyną treścią beznadziejnie smutnych dni, tak mi jasnym było, gdym patrzył na nią, że dla prawdziwej miłości symbolów niema i ona gdy wlokła się z wieńcem na cmentarz, to poprostu szła z kwiatami do córki. I kamienna płyta nagrobku przyjmowała te kwiaty, jak żywe, wdzięczne ręce.

Pewnego dnia po paru tygodniach cudnej, jesiennej pogody zaciągnęło się nagle niebo chmurami i od samego rana deszcz się rozpadał. Oczywiście musiałem już na czas sprzątania pokoju szukać innego schronienia i usadowiłem się w kawiarni. I tam przyszło mi nagle na myśl, czem też w taki zimny, drżysty dzień, gdy z domu wyjść trudno, żyje moja staruszka. Na cmentarz przecież nie poszła? A może poszła? Korciła mię ciekawość, owa ciekawość człowieka, który ma dużo wolnego czasu i ulegając jej wreszcie powędrowałem sam na cmentarz.

Oczywiście nikogo na cmentarzu nie było, nawet strażnik opuścił zwykłe swe miejsce w budce koło bramy — tylko przed owym grobem, nakryta starym parasolem, z którego sterczały druty, na rozłożonej w błocie gazecie klęczała samotna staruszka.

Miałem wówczas jeden z owych odruchów, których się ludzie wstydzą, zamiast się wstydzić tego, że im nie ulegli — chciałem podejść i pocałować ją w rękę.

Tego dnia byłem ostatni raz na cmentarzu. Naza jutrz przeprowadziłem się do innej dzielnicy i tryb życia począł mi się układać inaczej. Była zresztą drży-



sta, ohydna jesień i nic nie zachęcało do przechadzek. Po paru tygodniach dopiero obudziła się nagle we mnie sentymentalna chęć, żeby dawne strony odwiedzić. Właściwie nie tyle o nie mi chodziło, co o zobaczenie staruszki, ku której ciągnęło mię jakaś zbyt już może czułościowa sympatya. A ponieważ było sucho i ładnie poszedłem na cmentarz.

Ale staruszki przy grobie nie było i na grobie nie było kwiatów.

Za to kręcił się w pobliżu strażnik z drewnianą nogą. Była to rzecz również niezwykła, ponieważ nigdy prawie nie opuszczał swego miejsca koło bramy. Poznał mię i po dawnemu powitał uśmiechem. Zachęcony tem zbliżyłem się ku niemu.

— A co, i ta staruszka już umarła? — odezwałem się z melancholijnym uśmiechem, wskazując oczami na grób.

Czekałem jakiejś życzliwej odpowiedzi, ale on zmierzzył mię tylko wyraźnie niechętnem spojrzeniem i nic nie odrzekł. Po chwili dopiero mruknął, przyglądając mi się podejrzliwie:

— Pan ją znał?

— Nie — odparłem zdziwiony tą nagłą jego niechęcią.

— Pan powiada — staruszka... Złodziejka a nie staruszka — wybuchnął nagle i aż poczerwieniał z gniewu. Wie pan co ona robiła?... Kradła z innych grobów wieńce i kwiaty, i na ten swój zносиła... Dopiero mię jedni państwo przestrzegli... Tfu!... splunął z obrzydzeniem.

I odszedł, gdyż to przypomnienie popsuło mu widocznie humor i stracił chęć do rozmowy.

## IDEALNY LOKATOR.

### GOSPODARZ DOMU. — LOKATOR.

Rzecz dzieje się w gabinecie gospodarza domu. Godzina czwarta popołudniu. Gospodarz domu ukończył był właśnie przed chwilą obiad i rozparty wygodnie w wielkim fotelu rozkoszuje się dymem cygara. Po chwili słychać pukanie do drzwi. Gospodarz odwraca niechętnie głowę, zły, że mu przerywają siestę... Ale  
cóż robić?

Proszę...

*(Do pokoju wchodzi służąca)*

SŁUŻĄCA:

Jakiś pan przyszedł i chce się z panem widzieć.

GOSPODARZ:

Ze mną? Co za jeden?

SŁUŻĄCA:

Nie wiem. Powiada, że ma bardzo ważny interes.

GOSPODARZ:

Mogli by mnie przynajmniej po obiedzie nie trudzić. Przyprowadź go tutaj.

Służąca odchodzi. Po chwili do gabinetu gospodarza wsuwa się, starając się jak najciszej zamknąć za sobą drzwi, Lokator. Szczupły młodzieniec o melancholijnym wyrazie twarzy w mocno podniszczonem ubraniu.

GOSPODARZ (*zimno*):

Ach, to pan... (*wstaje z fotelu*). Właściwie nie przyjmuję o tej porze interesantów, ale... czem mogę służyć.

LOKATOR:

Wybacz pan, jeśli mu przeszkodziłem, sprowadza mię jednak bardzo ważna sprawa.

GOSPODARZ (*ironicznie*):

Jakaż?

LOKATOR:

Otóż przedewszystkiem muszę panu powiedzieć to, co nie jest zapewne dla niego nowiną, że dzisiaj rano był u mnie komornik i opieczętował mi rzeczy. Mówię to dla ścisłości, jestem ścisły.

GOSPODARZ:

Proszę pana, dajmy tej rozmowie spokój. Czekałem cierpliwie cztery miesiące, ale wszystko ma swój kres.

LOKATOR:

Najzupełniej się z szanownym panem zgadzam.

GOSPODARZ:

Mało mi na tem zależy. Wątpię, żeby pan przyszedł mi zapłacić.

LOKATOR:

Właśnie po to przyszedłem.

GOSPODARZ:

Jakto? I pan ma zamiar wszystko mi zapłacić.

LOKATOR:

Wszystko. Służę panu (*podaje mu pieniądze*).

GOSPODARZ:

Dziękuję. Niech że pan spocznie. W tej chwili przygotowuję panu kwit.

LOKATOR:

I jeśli pan gospodarz pozwoli...

GOSPODARZ:

To co?

LOKATOR:

To jabym jeszcze z góry zapłacił za kwartał.

GOSPODARZ:

Ależ owszem.

LOKATOR:

Serdecznie dziękuję. Bo obawiałem się właśnie, że szanowny pan, zrażony moją niewypłacalnością w ciągu ostatnich miesięcy odmówi mi wogóle nadal gościny w swej pięknej kamienicy. Ja czuję, że jestem złym lokatorem.

GOSPODARZ:

Ależ pan jest idealnym lokatorem.

LOKATOR:

Och nie... tylko ja się bardzo przywiązałem do pańskiego domu.

GOSPODARZ:

Cieszy mnie to... tem bardziej mnie cieszy, że wdzięczność ze strony lokatorów jest to rzecz, niestety, tak rzadka. Widzę, że z pana naprawdę porządny człowiek. Więc... za kwartał?

LOKATOR:

Tak... Służę panu (*podaje mu pieniądze*).

GOSPODARZ:

Oto kwit.

LOKATOR:

Ja się strasznie przywiązałem do pańskiej kamienicy. Mnie już z wielu domów wyrzucano i zawsze wyprowadzałem się bez żalu. Ale dziś, kiedy przyszedł do mnie komornik, powiedziałem sobie: Nie, ja tu zostanę. Pójdę do gospodarza, zapłacę, padnę mu do nóg...

GOSPODARZ (*wzruszony*):

Ależ panie drogi.

LOKATOR:

I, żeby mógł panu zapłacić zdecydowałem się przez miesiąc nie jadać obiadów.

GOSPODARZ:

Za to będzie pan miał spokojne sumienie, a to także odżywia. Pan pali? Może cygaro?

LOKATOR:

Dziękuję (*zapala*).

GOSPODARZ:

Jeszcze raz panu powiem, i to pod słowem, że pan jest idealnym lokatorem. Wszystkich chciałbym mieć takich.

LOKATOR:

I ja miałem swoje wady... Ale się zmieniłem... zmieniłem pod wpływem miłości.

GOSPODARZ:

Doskonale. Niechże się pan żeni czempredzej. Najgorsza rzecz dla kawalera to nie mieć żony.

LOKATOR:

W tym celu właśnie przyszedłem.

GOSPODARZ:

Jakto?

LOKATOR:

Bo ja przyszedłem właściwie prosić szanownego pana o rękę jego córki.

GOSPODARZ:

Czy pan oszalał?

LOKATOR:

Bynajmniej.

GOSPODARZ:

Więc chyba pan jest pijany.

LOKATOR:

Od chwili, w której postanowiłem ożenić się z pańską córką, przestałem zupełnie pić. Pojmuję, co to za straszna rzecz mieć zięcia alkoholika.

GOSPODARZ:

Jak pan śmie mówić to do mnie!

LOKATOR:

Skoro pan jest ojcem osoby, którą ubóstwiam — sędzę, że byłoby niestosowne, gdyby pan miał się dowiadywać o moich uczuciach od osób obcych.

GOSPODARZ:

Ale ja panu zabraniam.

LOKATOR:

Kochać. Tego mi pan zabronić nie może... Mógł mi pan opieczętował rzeczy, serca mi pan nie zapieczętuje.

GOSPODARZ:

Ale znajdę sposób.

LOKATOR:

Na to, żebym nie kochał pańskiej córki. Ciekawym jaki?

GOSPODARZ:

Nie, to ja chyba zwaryowałem.

LOKATOR:

To mógłby orzec jedynie psychiatra.

GOSPODARZ:

Proszę wyjść.

LOKATOR:

Nie wyjdę.

GOSPODARZ:

Każę pana wyrzucić.

LOKATOR:

Ale ja nie przestanę kochać pańskiej córki.

GOSPODARZ:

Więc pan naprawdę wyobraża sobie?

LOKATOR:

Naprawdę. Cóż w tem dziwnego zresztą. Jestem młody, zdrow, przystojny, więc mogę się żenić. Szanowny pan sam mnie zachęcał przed chwilą do tego. I nie tylko pan. Paru przyjaciół, którym się zwierzyłem, że kocham pańską córkę, również namawiało mnie gorąco do tego kroku. Już mnie nazywają narzeczonym.

GOSPODARZ:

Pan śmie rozpuszczać plotki o mojej córce.

LOKATOR:

Jakie plotki... Ja pańską córkę naprawdę kocham, więc to nie jest plotka.

GOSPODARZ:

I dlatego pan się uparł, żeby u mnie mieszkać.

LOKATOR:

Czyż szanowny pan sądzi, że co innego mogłoby mnie skłonić do wyrzeczenia się na cały miesiąc obiadów?

GOSPODARZ:

Ależ ja nie chcę pańskich pieniędzy... Bierz pan je sobie i wnoś się jaknajdalej.

LOKATOR;

Nie wyniosę się.

GOSPODARZ:

Cóż panu z tego przyjdzie?...

LOKATOR:

Będę w sąsiedztwie istoty, którą ubóstwiam. Będę ją mógł codziennie spotykać na schodach, w sieni, przed bramą.

GOSPODARZ:

Mnie pan spotka, ale z kijem.

LOKATOR:

Dobrze, że mnie szanowny pan uprzedza. I ja się odpowiednio uzbroję.

GOSPODARZ:

On naprawdę oszalał.

LOKATOR:

O ile miłość można nazwać szaleństwem.

GOSPODARZ:

Pan się dziś odemnie wyprowadzi... zaraz.

LOKATOR:

Nie. Choćbym się zgodził, nie mam za co...



GOSPODARZ :

Ależ ja się wyrzekam pańskich pieniędzy. Bierz pan je sobie wszystkie, byłem pana nie widział w domu. (*Podaje mu pieniądze*).

LOKATOR (*biorąc je skwapliwie*):

Więc pańska zaciekłość aż tak daleko sięga... Dobrze, wezmę, wezmę... i wyprowadzę się.

GOSPODARZ :

Niech mi pan kwit zwróci.

LOKATOR :

Och, panie, kwit nie jest pierścieniem zaręczynowym, żeby go zwracać, skoro małżeństwo zostało zerwane. I to panu powiem jeszcze, że w tej chwili cieśzę się z tego, że zostało zerwane. Gdy pan w piekle zostanie swoim własnym teściem, wówczas dopiero będzie pan mógł moją radość zrozumieć. Mnie po tej rozmowie z panem córka pańska obrzydła, to już dość chyba. I choćby mnie pan teraz na kolanach błagał już się nie cofnę... Nie cofnę się... za żadne skarby świata już się nie cofnę... zrywam (*wychodzi trzaskając drzwiami*).

Gospodarz, osłupiały patrzy za nim przerażonym wzrokiem.

## DWA ŚWIATY.

Powróciwszy o zmierzchu z cytadeli do domu Zawadzki zastał w przedpokoju, który w tych godzinach popołudniowych nazywał się poczekalnią paru interesantów i rozmowa z nimi zajęła mu czas do wieczora. Tak był nieludzko zmęczony, że ledwo rozumiał to, co do niego mówiono i odpowiadając po dziesięć razy z rzędu na jedne i te same naiwne i niepotrzebne pytania siłą woli musiał panować nad ogarniającem go rozdrażnieniem. Kiedy wreszcie ostatni klient wyszedł, było już parę minut po wpół do dziesiątej. Zawadzki przeszedł do sąsiedniego pokoju i w ubraniu rzucił się na łóżko.

Tego wieczora właśnie miał być na balu. Inżynierostwo Stawińscy z okazji imienin córki urządzali u siebie prywatną maskaradę w niewielkim gronie krewnych i najbliższych znajomych. Projekt powstał jeszcze podczas świąt Bożego Narodzenia, a inicjatorem jego był nawet sam Zawadzki. Ale w tej chwili perspektywa całonocnej zabawy, a przede wszystkim przebieranie się na ten bal w kostyum wcale mu się nie uśmiechała. Poprzedniej nocy położył się o czwartej, nazajutrz o dziewiątej z rana miał już być na nogach, zmęczenie fizyczne przekraczało jego siły. W dodatku po paru dniach mrozów nastąpiła gwałtowna odwilż.

Od rana padał deszcz, pomieszany z mokrym śniegiem, który topniał w powietrzu. To wilgotne niezdecydowane zimno było dokuczliwsze od największych mrozów i Zawadzki jadąc kawał drogi z cytadeli do domu tak przemarzył w dorożce, że i teraz jeszcze czuł lekkie dreszcze.

— Zdaje mi się, że mi się na influencę zbiera — pomyślał, wyciągając się na łożku.

Obiecał był przyjść do inżynierostwa na tę zabawę wcześniej trochę, zaraz po dziesiątej. Na dobrą więc sprawę należałoby zaraz zacząć się myć i ubierać. Ale nie miał siły. Owładnęła nim taka ociężałość, że leżał bezwładnie z przymkniętymi oczami, nie mogąc się ruszyć.

Do pokoju wsunął się służący, ośmnastoletni chłopak z typową miną ulicznika warszawskiego.

— Pan śpi? — odezwał się półgłosem.

Zawadzki nic nie odpowiedział.

Jego lokaj podszedł bez ceremonii do łożka.

— To już dziewiąta dochodzi — dodał głośniejszym głosem.

— Czego się drzesz? Pali się, czy co?... Za pół godziny mnie obudzisz... I żebyś mi się tu nie kręcił — krzyknął rozdrażnionym tonem i odwrócił się twarzą do ściany.

Miał zamiar rzeczywiście przespać się chwilę, sądząc, że to go najlepiej uspokoi. Bo czuł dobrze, że przyczyną tego niesłychanie podłego stanu ducha w jakim się znajdował było poprostu fizyczne zmęczenie. Nieraz zdarzało mu się nie dosypiać po parę nocy z rzędu i nadrabiał nerwami wyczerpane siły. Ale teraz nerwy właśnie odmówiły mu posłuszeństwa.

Ta sprawa w cytadeli tak go rozdrażniła... Bronił tego

dnia młodego bandyty, którego sąd wojenny skazał na karę śmierci. Zawadzki z góry się tego spodziewał, ale mimo to i tym razem jak zawsze, gdy przewodniczący sądu, wysoki, kościsty generał przeczytał urzędowym, obojętnym głosem formułę wyroku „na karę śmierci przez powieszenie“, Zawadzki uczuł nagle, że mu wszystka krew uderzyła do mózgu i zmrużył oczy, mimowoli pochylając głowę, jakby przed ciosem. I w tej samej chwili obudziło się w nim niepojęte, tkliwe, serdeczne uczucie dla tego młodego zbrodniarza. Przez mgnienie oka miał wrażenie, że to mu rodzonego brata będą wieszali. Wnet potem oczywiście wydało mu się to przesadnym sentymentalizmem, bo już kto jak kto, ale ten opryszek na nieczyjże współczucie nie zasługiwał. Mimo to jego twarz bezmyślna, tępa, zrzadka obrośnięta strzępami jasnych włosów wciąż majaczyła mu się przed oczami i nie mógł tej mary od siebie odpędzić. I teraz, gdy leżał po ciemku, napróżno starając się usnąć choć na chwilę, raz po raz zarysowywała mu się przed oczami sala posiedzeń sądu wojennego, oficcerska sala balowa, z której, gdy rano przyjechał na sprawę, żołnierze kończyli wymiatać dopiero kolorowe krążki „confetti“, resztki po jakiejś zabawie, która się do późna w noc przeciągnęła. Teraz tu kat ze stryczkiem — będzie tańcował — przyszło mu na myśl, gdy to spostrzegł i jakby cień od tej myśli spadło mu na duszę przygnębiająco ciężkie poczucie głupich, groteskowych kontrastów, z których się wszystko dookoła składało. Oczywiście była to „literatura“, nie mógł się jednak z pod jej wpływu otrząsnąć. Chcąc zapanować nad zderwaniem, starał się myśleć wyrazami, ale i to mu się nie udawało. Zdania, które logicznie w mózgu

układał, rwały się wciąż i z pośród słów wyłaniały się nieokreślone a pełne goryczy uczucia i obrazy.

Do pokoju ponownie wszedł służący.

— Proszę pana już jest pół godziny.

— Dobrze. Podaj mi wody do mycia.

Szybko zerwał się z łóżka i z gorączkowym pośpiechem począł się ubierać. Przedtem zlał się cały zimną wodą i to odrazu go orzeźwiło i podnieciło. Uczuł głód. Nie miał więc już ani chwili czasu do stracenia. I ten pośpiech nerwowy dodał mu humoru. Właśnie — myślał — ubrać się i iść na bal, to jedyne co ma sens. Gdybym chciał po każdym wisielcu odprawiać pokutę to pierwszy powinienym był się powiesić. To że znów nagle uczuł się rzeźkim i wypoczętym sprawiało mu zadowolenie.

— Nerwy odzyskały sprężystość i już po awanturze — mruknął półgłosem, przysuwając lampę do lustra, aby się lepiej przejrzeć.

— Walek, która to tam godzina?

— Już pięć minut po dziesiątej — odparł mu służący z drugiego pokoju.

— Dawaj kostyum. Za pięć minut muszę wyjść.

— A ja budziłem pana.

— Dobrze, dobrze... Śpiesz się teraz.

Zawadzki wybierał się na bal we francuskim kostymie z czasów dyrektoryatu. Było mu bardzo w tym stroju do twarzy i gdy po chwili, przebrawszy się zupełnie, przejrzął się w lustrze od stóp do głów, ogarnęła go pusta balowa uciecha. Spojrzał na służącego, który stał koło lustra z lampą w ręce.

— No cóż dobrze.

— Wygląda pan jak z teatru.

W tym kostymie z innej epoki Zawadzki poczuł

się nagle innym człowiekiem. W jednej chwili zapomniał o wszystkim, co nękało mu duszę. Chciał się teraz tylko bawić bez troski i podobać pięknej inżynierównie. Wszyscy uważali go już właściwie za narzeczonego panny Stawińskiej. On sam nie wiedział jeszcze dobrze. Ale gdy był przy niej snuło mu się po duszy jakieś uczucie nieokreślone a rozkoszne jak zapach kwiatów.

— Zdaje mi się, że dobrze — powtórzył po chwili raz jeszcze przejrzawszy się starannie w lustrze. Panna Stawińska miała się również przebrać w kostium z epoki dyrektoryatu, mieli tworzyć parę... Uśmiechnął się wesoło. I jeszcze, jakby ostatnie echo poprzednich rozgoryczeń zbudziła się w nim refleksya:

— Człowiek tak myśli, jak jest ubrany.

Ale jeśli mu co jeszcze psuło trochę humor, to tylko to, że przemarnował godzinę w domu zamiast pójść na miasto co zjeść. Teraz nie było już czasu, a przede wszystkim nie mógł się w maskaradowym kostymie pokazywać w restauracyi.

— Podaj mi palto — zwrócił się do służącego.

W przedpokoju rozległ się nagle odgłos dzwonka. Krótki i przyciszony. Ktoś dzwonił do drzwi bardzo nieśmiało.

— Kogóż tam dyabli teraz niosą! — zaklął Zawadzki. Powiedz, że mnie niema w domu.

Służący wyszedł, zamykając drzwi za sobą.

Minęła dość długa chwila. Adwokat począł się niecierpliwić. Wreszcie Walek ukazał się z powrotem w progu.

— To ta baba — odezwał się przyciszonym głosem.

— Jaka baba?

— A, co pan dzisiaj jej syna bronił... Mówiłem, że pana niema dodał, ale ona skamle i stoi na schodach. Będzie pan musiał wyjść przez kuchnię.

Zawadzki spojrział na lokaja, ze zdziwieniem, jakby nie rozumiejąc dokładnie treści jego słów.

— Jakto, to ona? — odezwał się po chwili zmienionym, bezbarwnym głosem.

— Będzie pan musiał wyjść przez kuchnię.

Zawadzki nic nie odpowiedział. Usiadł na łóżku i ukrył twarz w dłoniach. I w tej ciszy jaka zapanaowała w pokoju było coś tak niewytłómaczenie groźnego, że aż Walka przejęła zabobonna trwoga.

— Proszę pana — odezwał się niespokojnie.

— Przecież ja jej się tak nie mogę pokazać — odparł Zawadzki szeptem i takim tonem, jak gdyby prosił służącego o przebaczenie mu jakiejś winy.

— To też niech pan zejdzie kuchennymi schodami.

Zawadzki smutno się uśmiechnął.

Uciekać, wymykać się kuchennymi schodami przed matką, gdy tamtego chłopaka, którego on bronił mieli w kilkanaście godzin powiesić... To przypuszczenie wydało mu się tak niehumanie potwornem, że sama myśl napełniła go przerażeniem. Może ona jeszcze nic nie wie — wyszeptał, patrząc osłupiałym wzrokiem na Walka.

— A to?

Służący nie dokończył pytania.

— Ja jej mówiłem, żeby jutro przyszła — mruknął po chwili.

— Mówiłem — powtórzył przeciągle Zawadzki. Mignęła mu przed oczami wizja tej starowiny, która wlokła się po deszczu gdzieś na krańce miasta, na

Wolę, bo pan mecenas nie chciał jej przyjąć, a nie chciał, gdyż się przebrał w głupi, błazeński strój, żeby pójść na maskaradę i bawić się, bo był zakochany.

Wyprostował się szybko.

— Wprowadź ją do pokoju... Jeśli już zeszła zbiegnij do bramy... A mnie daj futro i czapkę... i przyćmij trochę lampę w kancelaryi.

Służący wyszedł i zaraz powrócił.

— Jest, stała pod drzwiami.

Zawadzki włożył futro, podniósł kołnierz, czapkę nasunął na czoło, nie znać tak było, że jest w maskaradowym przebraniu. I odzyskując mechanicznie spokój wyszedł do kancelaryi.

W rogu pod drzwiami stała niewielka zgarbiona babina. Z pod chustki naciągniętej na głowę nie widać jej było prawie wcale twarzy. Gdy Zawadzki wszedł do pokoju skłoniła mu się nisko i wybuchnęła krótkim, urywanym płaczem.

Ten płacz zmieszał go.

— Mówiłem pani... już onegdaj — odezwał się cichym, nieśmiałym głosem.

Babina zachłysnęła się jeszcze parę razy łzami. Potem ocierając ręką oczy dodała już spokojniej:

— Ja o jedno tylko chciałam jeszcze wielmożnego pana mecenasa prosić... On miał takie nowiuteńkie buty, akurat na dzień przedtem kupił, jak go wzięli... Żeby to jako od żandarmów wydostać... bo jemu biedakowi to już tam w grobie niepotrzebne.



## WYRODNE DZIECKO.

### SZARECKI — WŁADEK.

Mieszkanie Władka Szareckiego. Kawalerski pokój, przypominający urządzeniem buduar damy z półświatka. Zmierzch. Stary Szarecki, ojciec Władka siedzi na kanapie. Jest to niski otyły mężczyzna ze starannie uczernionymi włosami. Ubrany w czarny tużurek, zapięty na wszystkie guziki. Ruchy ma sztywne, pełne przesadnej dystynkcji. Władek, chodząc po pokoju raz po raz zatrzymuje się przed lustrem i przegląda w niem z widocznym zadowoleniem. Wystrojony według ostatniej mody z pretensją na wielki szyk. Rozmawiając wciąż jest sobą zajęty: poprawia ubranie, pije paźdzokcie i t. d.

SZARECKI.

Więc powiadasz, że ją po rękach całowałem?

WŁADEK.

Jeszcze jak...

SZARECKI.

Hm...

WŁADEK.

Oświadczał jej się ojciec (*parska śmiechem*). Nie, to było paradne.

SZARECKI.

Mógłbyś się nie śmiać tak arogancko.

WŁADEK.

A cożem ja temu winien, że ojciec trochę za dużo wypił?



SZARECKI.

Naumyślnie wlewałaś we mnie, ty i twoi przyjaciele. W ładnym towarzystwie się obracasz.

WŁADEK.

Papie dziś się wszystko niepodoba.

SZARECKI.

Było trochę i mojej winy, zapewne... Ale ja na twojem miejscu nie pozwoliłbym narażać ojca na takie pośmiewisko.

WŁADEK.

Na jakie pośmiewisko? Wszyscy bawiliśmy się i papa razem z nami. Wielka rzecz, jest też o co się martwić doprawdy.

SZARECKI

*(nie odpowiada, kiwa smutnie głową).*

WŁADEK.

Czemuż papa ma wciąż taką grobową minę, jakby się nieszczęście jakie stało? Nie zabawił się ojciec wczoraj?

SZARECKI.

Czyż to zabawa?

WŁADEK.

Więc cóż ojciec nazywa zabawą?

SZARECKI

*(nie odpowiada wprost na pytanie, po chwili).*

Ale ty musiałeś też mnóstwo pieniędzy wydać wczoraj.

WŁADEK.

Ano, nic niema za darmo. To najgorsze, psiakrew, że za wszystko płacić trzeba.

SZARECKI.

Słuchaj Władku, pomówmy poważnie.

WŁADEK.

Obiecał mi ojciec, że już nie będziemy o tem mówili.

SZARECKI.

Ja ci obiecałem, kiedy?

WŁADEK.

Wczoraj.

SZARECKI.

Wczoraj... Naumyślnie dolewaliście mi wciąż wszyscy, żebym przytomność stracił. I wymusiłeś ze mnie jakąś tam obietnicę, chociaż i to wydaje mi się podejrzanem, czym ci co obiecywał. Nie... To bym pamiętał. Ho, ho, mój kochany (*uderza się ręką w czoło*) ja mam mózg.

WŁADEK.

Ale zaręczam ojcu.

SZARECKI.

A zresztą cóż z tego... Mogłem powiedzieć żartem... Słuchaj Władek, chciałeś się zabawić, rozumiem to doskonale, ale już się wyhulał... trzeba o przyszłości myśleć. Resztę pieniędzy musisz mnie oddać.

WŁADEK.

Nie.

SZARECKI.

Ale, dajżeż mi skończyć.

WŁADEK.

Nie... nie... nie...

SZARECKI.

Ha, skoro mnie nawet wysłuchać nie chcesz... (*wzburzony przechadza się kilka razy po pokoju, na-*

*stępnie wyprostowyywuje się uroczyście, wspierając się jedną ręką na poręczy krzesła).*

Więc nie dasz?

WŁADEK.

Nie.

SZARECKI.

I to twoje ostatnie słowo?

WŁADEK.

Ostatnie.

SZARECKI.

W takim razie... w takim razie nie mam tu już nic do roboty... Mnie sobie za kolację, za szampana nie kupisz... *(Kładzie palto, sięga po kapelusz i kieruje się ku drzwiom).*

WŁADEK.

Cóż to papa już się nie żegna ze mną?

SZARECKI.

Nie bądź fałszywy przynajmniej! A zresztą, skoro ci na tem zależy *(wyciąga niedbale rękę ku Władkowi, podając mu końce palców)*. Życzę wesołej zabawy! *(Wychodzi, po chwili uchyla z powrotem drzwi i wsuwa do pokoju głowę).*

To się tak z ojcem rozstajesz, durniu?

WŁADEK.

Co ojciec za komedye wyprawia?

SZARECKI *(we drzwiach)*.

Komedye... Błazen!... Mnie się serce krwawi, a on to komedyami nazywa... Śmieję się, śmieję... Będziesz ty jeszcze gorzko płakał, i popamiętasz moje słowa, ale wtedy już będzie zapóźno. *(Wchodzi do pokoju, zamyka za sobą drzwi, zdejmuję palto, kładzie kapelusz*

*na stole*). Słuchaj, widzisz, przewyciężyłem się, wracam. Po raz ostatni jak do człowieka mówię do ciebie.

WŁADEK.

Ale proszę ojca to się na nic nie zda.

SZARECKI.

Ano, skoro się na nic nie zda, to szkoda słów. A, gdybym był to przewidział, nimeś ty na świat przyszedł.

WŁADEK.

Proszę ojca, ja ojcu mówiłem: grajmy do spółki. Ojciec nie chciał, wziąłem bilet sam.

SZARECKI.

Do spółki... Z ojcem interesów się nie robi.

WŁADEK.

Tak?

SZARECKI.

A tak... Gdym ja na twoje wychowanie łożył, tom dawał sam, a nie do spółki. Co prawda, na dyabła się zdało. Niecierpliwisz się, oczywiście wolałbyś być w towarzystwie swoich wesołych przyjaciół. A ja ci to muszą powiedzieć, to jest moim obowiązkiem.

WŁADEK.

Czemuż ojciec nie chciał grać do spółki ze mną?

SZARECKI.

Ten swoje wiecznie.

WŁADEK.

A ojciec swoje.

SZARECKI.

Mnie nie stać na to, żeby ciężko zapracowany grosz na loterye wyrzucać.

WŁADEK.

A jednak ja wygrałem.

SZARECKI.

Głupcom szczęście sprzyja.

WŁADEK.

A jednak, gdyby ojciec grał ze mną... Ja przecież chciałem.

SZARECKI.

Nie długo ty się będziesz tymi pieniędzmi cieszył.

WŁADEK.

To już moja rzecz.

SZARECKI.

Twoja... twoja, ma się rozumieć, że twoja. Ciekaw tylko jestem, co potem będziesz robił. Posadę rzuciłeś... Przypomnij sobie, co ja się nachodziłem, co się ludzi nabłagałem, nim cię przyjęli. I on to rzuca, jakby miał majątek w kieszeni. Za dwa miesiące twoje jaśnie państwo się skończy, a ja już nie będę po przedpokojach wystawał.

WŁADEK.

Wcale ojca o to nie proszę.

SZARECKI.

A cóż myślisz, że cię tak przyjmą dla pięknych oczu... Idyota! On gwizdże... Nie, noga moja nie postoi tu już więcej. Zdychaj sobie z głodu.

WŁADEK.

O, jak też ojciec trywialnie się wyraża.

SZARECKI.

Proszę, trywialnie się wyraża... Staremu ojcu już

nawet życzliwej uwagi nie wolno zrobić... Wyrodne ty jesteś dziecko.

WŁADEK.

Co ojcu było potrzeba, to ojcu dałem, a na żadne fantastyczne procesy pieniędzy wyrzucać nie myślę.

SZARECKI.

Fantastyczne procesy! I ja się nie mam trywialnie wyrażać! A toż wołu możnaby prędzej o czemś przekonać, niż ciebie. (*Wyciąga z bocznej kieszeni surduta plik papierów*). Wszystkie papiery w jak najidealniejszym porządku! Jeśli mnie nie wierzysz, idź do pierwszego lepszego adwokata, spytaj się... Przecież to jasne, jak przykazanie boże. Twoja nieboszczka prababka.

WŁADEK.

Wiem, wiem, ja to już na pamięć umiem.

SZARECKI (*przerzuca papiery*).

Sięgnąć tylko i wszystko odzyskane. Ale cóż, na procesy trzeba pieniędzy. Darmo ci sprawiedliwości nikt nie wymierzy. Zastanów się, przez jedną krótką chwilę się zastanów, pomyśl jak rozsądny człowiek, to chyba potrafisz. Poszczyło ci się, masz te parę tysięcy rubli, raz w życiu trafiła się okazyja, że możnaby proces rozpocząć. I żeby to o głupstwo chodziło, ależ to fortuna, naprawdę do śmierci mógłbyś być jaśnie panem... Ciężko ty przed Panem Bogiem odpowiesz.

WŁADEK.

Ciekaw jestem, za co?

SZARECKI.

Za co! Za to, że tradycyi nie szanujesz. Bo już nawet nie o majątek chodzi. Ale prawo swoje trzeba

wywalczyć, prawo. Całe życie człowiek był marnym urzędniczyną, ty się także po biurach wycierać musisz, a nasze miejsce między najpierwszymi rodami w kraju... (*przeogląda papiery*). Raz w życiu trafia się okazywa... Toż ty, głąbie, senatorskim potomkiem jesteś, hrabiowskiego tytułu mógłbyś się w tych papierach doszperać.

WŁADEK.

Obejdę się bez tytułu.

SZARECKI.

Ciekaw jestem, czy się bez jedzenia obejdiesz. Za dwa miesiące najdalej nie będziesz już miał ani grosza. I co zrobisz? Żebrać pójdziesz?

WŁADEK.

Niech mi ojciec da spokój.

SZARECKI.

Nie chciałeś się uczyć, głupi jesteś, ale tu nawet rozumu nie potrzeba, żeby pojąć, że sprawa jest czy sta jak łąza. Nam się należy i musimy wygrać. Wyobraź sobie cały klucz na Litwie, najżyźniejsza ziemia w kraju... Zresztą nie potrzebuję ci opowiadać... wiesz dobrze... nieboszczka twoja prababka...

WŁADEK.

Wiem, wiem.

SZARECKI.

Umarła bez testamentu.

WŁADEK.

Ale wiem... wiem.

SZARECKI.

Nie przez parę miesięcy mógłbyś pijać szampana, ale do zgonu.



WŁADEK.

Ja wolę przez parę miesięcy, ale naprawdę.

SZARECKI

*(beznadziejnym ruchem rozkłada ręce, siada ciężko na krześle, po chwili bolesnym tonem).*

Czyż jabym się procesował dla siebie? Stary jestem, nad grobem stoję... Ileż ja czasu mogę jeszcze żyć na świecie, rok, półtora... Czy myślisz, że takie przejścia z tobą to nie podkopują zdrowia... Umrę i co mi po majątku?

WŁADEK.

Więc po cóż ojciec chce się procesować?

SZARECKI.

Trzeba odebrać to, co nam się należy. Zresztą tej schedy do trumny z sobą nie zabiorę. Tobie zostawię. Wtedy dopiero będziesz mógł naprawdę używać. I ludzie cię będą szanowali. Teraz każdy wie, żeś na loteryi wygrał i że to się prędko skończy. Władek, bądź człowiekiem, przecież ja cię własnymi piersiami... przez pamięć na matkę, która cię własnymi piersiami wykarmiła.

WŁADEK.

Nie, proszę ojca, ja w te procesy nie wierzę i ani grosza nie dam. Zresztą, z tych pieniędzy, co ojcu dałem, mógł ojciec już proces rozpocząć.

SZARECKI.

Tanio ty chcesz wygrywać sprawy.

WŁADEK.

Ja wcale nie chcę.

SZARECKI.

A to przepraszam, najmocniej przepraszam... Ciekaw jestem, co będziesz robił, gdy wszystko stracisz.

WŁADEK.

Znalazłem jedną posadę, znajdę drugą, a póki mam, będę się bawił... Tyle mojego, co teraz użyję, już mi się to psie życie znudziło.

SZARECKI.

Wrócisz, wrócisz do niego.

WŁADEK

*(odwraca się gwałtownie, nic nie odpowiada. Szarecki z ciężkiem westchnieniem zaczyna przerzucać papiery. Przez kilka chwil obaj milczą).*

SZARECKI.

Słuchaj, pomówmy rozsądnie.

WŁADEK.

A, proszę ojca, niech mnie ojciec nie nudzi. To nie do zniesienia. Powiedziałem, że nie dam, a ojciec wciąż swoje powtarza... Po co?

SZARECKI.

To prawda, po co? Po co ja tobie mówię. Po ludzku można mówić do ludzi, którzy mają serce i sumienie... *(Zagłębia się z powrotem w papiery, mruczając półgłosem)*. Od 1614 roku było w rękach rodziny... I poszło, poszło... Już się nie odzyska *(spogląda w stronę Władka, który stoi odwrócony do niego tyłem)*. Gdy twój pradziadek własną czwórką jechał do Paryża, osiem bryk szło za nim ze służbą... A ty... jednokonnym karawanem zawiozą cię na cmentarz. *(po chwili, zniżając głos)*. I to jeszcze nie pewne... *(przeogląda papiery, odczytując niektóre dłużej, po chwili półgłosem)*. A możnaby odzyskać... można... Jak ja stanę przed tymi ludźmi na sądzie ostatecznym...

WŁADEK.

Przepraszam bardzo ojca, ale ja już muszę wyjść.

SZARECKI.

W tej chwili... w tej chwili (*pośpiesznie składa papiery*). Dokąd idziesz?

WŁADEK.

Do teatru.

SZARECKI.

Ach, prawda, prawda... z przyjaciółmi masz się spotkać. I znów pewno będziecie pili do rana.

WŁADEK.

Szkał ja mogę wiedzieć, co będziemy robili.

SZARECKI.

Wesoło sobie żyjesz, wesoło, nie tak, jak ja (*po chwili milczenia*). To smutne swoją drogą nie mieć tak na stare lata nikogo. Wrócę do domu, cztery puste ściany i zgryzota... A ty się będziesz bawił. Nie szydź przynajmniej ze starego ojca z tymi swoimi przyjaciółmi.

WŁADEK (*wzruszając ramionami*).

A czyż ja kiedy szydę...

SZARECKI.

Nie wiem, nie wiem... Ja waszych rozmów nie słucham... No, idę już, idę, bo widzę, że się śpieszysz. (*Ociera łzy*).

WŁADEK.

Cóż to papa płacze?...

SZARECKI.

Mam nadzieję, że to ci zabawy nie popsuje.

WŁADEK.

E, bo z ojcem to nigdy nie można dojść do ładu.

SZARECKI.

Ze mną nie można dojść do ładu... Chciej mnie tylko wysłuchać. Przecież masz czas jeszcze.

WŁADEK.

Nie, już późno.

SZARECKI.

A, no, to się ubieraj... Ja poczekam, wyjdziemy razem. *(Władek wychodzi do sąsiedniego pokoju. Szarecki po pokoju przechadza się tam i z powrotem, z założonemi w tył rękami, z posepnie opuszczoną głową. Następnie zbliża się do stołu, na którym leżą niedbale porzucone cylinder, laska i papierošnica Władka, ogląda je z ironicznym uśmiechem). Phi... phi... (Siada na krześle, wyciąga swe papiery).*

WŁADEK *(wchodzi)*.

No, ja już jestem gotów.

SZARECKI.

Aleś się wystroił.

WŁADEK.

Prawda? *(przeŹgląda się z zadowoleniem w lustrze)*.

SZARECKI.

Więc ty do teatru idziesz?

WŁADEK.

Tak.

SZARECKI *(po chwili wahania)*.

Mógłbyś mię z raz ze sobą zaprosić.

WŁADEK.

I znów będzie papa przez cały wieczór narzekał.

SZARECKI.

Sam przecież mówisz, że byłem bardzo wesół wczoraj.

WŁADEK.

Z początku wciąż papa tak wzdychał, że aż się nam wszystkim na płacz zbierało.

SZARECKI.

Niepotrzebnie wzdychałem, masz rację.

WŁADEK.

Skoro się ludzie bawią, to przyzna ojciec, że to wcale nie jest przyjemne.

SZARECKI.

Ja się nie narzucam. (*Kładzie powoli palto*). Innych poisz, karmisz, ciągasz ze sobą po restauracjach, pewno im nawet pieniądze pożyczasz, a mnie to już nawet i tej skromnej rozrywki żałujesz... Wyrodne ty jesteś dziecko.

WŁADEK.

Wczoraj się ojciec bawił ze mną.

SZARECKI.

Och, wczoraj, wczoraj...

WŁADEK.

Dobrze, ja ojca zaproszę i do teatru i na kolację, ale pod warunkiem, że ojciec nic już nie będzie mówił o naszych prawach i o procesie. Co to ich wszystkich może obchodzić, czy myśmy mieli prababki czy nie. Zgadza się ojciec na ten warunek?

SZARECKI.

A po cóż miałbym mówić. Czy który z was zdolny jest do zrozumienia tradycji rodzinnej?

WŁADEK.

Ojciec obiecuje, a potem ojciec znów zacznie się rozwodzić i wszystkim dokumenty pokazywać. Najlepiej niech ojciec te papierzyska w domu zostawi.

SZARECKI.

Papierzyska! *(chodzi wzburzony po pokoju)*.

WŁADEK *(po chwili)*.

No, papo, ja się spóźnić do teatru nie mam zamiaru.

SZARECKI

*(wyciąga z kieszeni papiery i rzuca je na stół)*.

Masz... masz... Ja jednego tylko nie pojmuje, jak to się stało, że ty jesteś moim synem!

## DOBRA OPINIA.

**W** łóżku, z głową obwinętą ręcznikiem, płaczącym głosem opowiadał mi mecenas swoją przygodę:

— Wyobraź sobie, wyszedłem wczoraj przed wieczorem na miasto... Jak zwykle na przechadzkę. Czas był ładny, idę najspokojniej ulicą, gdy nagle chwytą mnie ktoś pod rękę. Spoglądam: jakaś dama, to jest właściwie nie dama, tylko taka pani z półświatka, a nawet i nie pani, tylko najzwyczajniejszy wyciruch. Chwytą mnie i powiada „Jak się masz stary!“ Aż mnie ta jej bezczelność oszołomiła. „Przepraszam — mówię — pani się najwidoczniej myli“. A ona śmieje mi się cynicznie w twarz: „Nie udawaj, nie udawaj — krzyczy, weź mnie ze sobą do cyrku“. I trzyma mnie. Co w takiej sytuacji robić? Wyrwać się... Toż ludzie patrzą... Bóg wie co mogą sobie pomyśleć... Policji wołać? Skandal... Na takie rzeczy nie mogę pozwolić... Zmiłuj się, mam dorastające córki w domu... A tu na ulicy ruch, pełno ludzi, skóra na mnie cierpie, bo lada chwila może nadejść ktoś ze znajomych. Ładna rzecz, gdyby mnie zobaczyli pod rękę z taką damą. Zrozpaczony, nie wiedząc już jak się odczepić mówię jej: „Jeśli pani chce pomówić ze mną, to wejźmy do bramy“. A ona na to: „Chodź

lepiej do mnie, ja się teraz przeprowadziłam i mieszkam o parę kroków“. I ciągnie mnie. Oczywiście nie miałem najmniejszego zamiaru wchodzić do niej, chciałem tylko do bramy się dostać. Ale wyobraź sobie, ledwośmy w bramę weszli, tuż za nami wsuwa się jakaś para, w dodatku oboje, wyglądający na poważnych i przyzwoitych ludzi... Myślę: będę teraz chciał uciec, ona mnie zacznie zatrzymywać, krzyczeć — a cóż to takiej pannie szkodzi, że narażę się na skandal. Wlażłem na schody, ci w krok w krok za nami i tak podprowadzili mnie aż pod sam próg jej mieszkania. Musiałem wejść za nią, żeby się nie narażać przy ludziach... Wprowadza mnie do jakiegoś pokoju... ciemno... zapala lampę i zaczyna mi się przyglądać. Taki byłem wściekły, że już chciałem laską przełoić... Aż tu nagle ktoś dzwoni... I ta małpa biegnie otworzyć. Mnie ciarki przechodzą... Miła sytuacja, co? Niech mnie kto zobaczy u takiej... Ładne rzeczy zaczęliby opowiadać po Warszawie... Uciekam do sąsiedniego pokoju. Ta za mną... „Mój drogi, powiada — poczekaj no chwilę, nie wychodź, dopóki cię nie zawołam“. I zamknęła mnie w jakieś komórce. Ciemno, ciasno, duszno, ale cóż robić... siedzę, w dodatku nawet krzeselka nie było... musiałem usiąść na podłodze. A tu przez drzwi dolatują mnie jakieś piski, krzyki, śmiechy, widocznie parę osób przyszło... Siedzę i siedzę, a oni bawią się w najlepsze... Boję się ruszyć, bo a nuż usłyszą i któremu przyjdzie na myśl otworzyć drzwi. Dziś jeszcze wszystko mnie boli. Ty nawet pojęcia mieć nie możesz... co to za męka — żebyś ty spróbował z godzinę tak posiedzieć?

— A pan długo siedział? — przerwałem ze współczuciem.



— Do szóstej rano — jęknął.

Po chwili ciągnął złamanym głosem.

— Gdyby o dziesięć, ale co o dziesięć, o pięć minut później otworzyła drzwi to jużby znalazła trupa. Nie miałem siły wstać. A ona śmieje się i mówi „Przepraszam cię, ja się naprawdę omyliłam, ale tyś bardzo podobny do jednego z moich znajomych“. I prowadzi mnie do drzwi. „A teraz idź powiada, bo ja jestem śpiąca“. Poprostu nie miałem siły jej odpowiedzieć. Wyszedłem. Na ulicy rozpacz mię ogarnęła. Co ja żonie powiem, jak ja się w domu pokażę... I postanowiłem skłamać, że się upiłem, bo przecież trzeźwy człowiek w moim wieku, na mojem stanowisku nie może spędzać nocy po za domem. Włażę do mieszkania, żona nie śpi, zapłakana, zaniepokojona: biedactwo, ona taka wrażliwa: I pierwsze słowo: „Gdzieś ty był stary łotrze?“ „Piłem — odpowiadam, pijany jestem“. A ona „Chuchnij na mnie!“. Zimno mi się zrobiło. Jak chuchnę, to pozna, że nie piłem... Muszę się jakoś wykręcić. Zaczynam tańczyć po pokoju i śpiewać: „Nie chuchnę, nie chuchnę, nie chuchnę“, żeby myślała, że naprawdę pijany. Żona w płacz, dziewczęta się pobudziły, przybiegły w koszulach do salonu, a ja wciąż pijanego udaję... Powiedz sam zresztą, co byś ty w mojem położeniu zrobił? Wybiegłem do stołowego pokoju... w niedzielę byli u nas goście, zostało pół butelki koniaku. Napiję się myślę, jak mi żona każe drugi raz chuchnąć, to przynajmniej będzie czuć odemnie. I wypięłem, ale wiesz ja nie jestem przyzwyczajony... nigdy nie piję... Tak mi się zrobiło odrazu nie dobrze... tak nie dobrze...

Mecenas westchnął ciężko i opadł bezwładnie na poduszki.

## UCZEŃ SHERLOCKA HOLMESA.

Przez szpary pomiędzy roletą a ramami okna padały na pokój dwa jasne promienie księżycowego światła. Pan Kulkiewicz zgasił świecę i nie rozbierając się leżał na łóżku z rękami założonemi pod głowę. W tej ostatniej chwili nie czuł już najmniejszego zdenerwowania. Ogarnęła go najzupełniejsza apatya i nudziło go tylko oczekiwanie. Przez niedomknięte drzwi, których naumyślnie nie domknął, żeby potem ciszej je móc otworzyć, dolatywało go z sąsiedniego pokoju gorączkowe tykotanie ściennego zegara.

Kiedy zegar piskliwie i cicho wydzwonił pierwszą, pan Kulkiewicz podniósł się z łóżka i uchyliwszy rolety wyrzwał na podwórze. We wszystkich oknach pogaszono już światła. O drugiej pójde — poruszył ustami bez dźwięku. O drugiej pójde, powtórzył po chwili, jakby nie wierząc jeszcze w rzeczywistość tego, co za godzinę miało się stać. Powoli zaczął się rozbierać. Zdjąwszy marynarkę i kamizelkę usiadł na łóżku i znów zapadł w apatyczne zamyślenie.

W mieszkaniu o piętro niżej rozpląkało się nagle dziecko. Przez parę minut słychać potem było głucho monotonne stukanie kołyski o podłogę. Później turkot jakiegoś wozu przejeżdżającego ulicą tak gwałtownie wstrząsnął ciszą, że aż szyby zabrzęczały w oknach.

Z daleka doleciał przenikliwy, smutny, świst lokomotywy. W te wszystkie odgłosy pan Kulkiewicz wsłuchiwał się ze zdziwieniem, jakgdyby po raz pierwszy w życiu je słyszał. Nie dziwiło go to wcale. Był to objaw zupełnie zgodny z prawami psychologii i te same uczucia przeżywali wszyscy bohaterowie powieści, jakie czytał.

I sam pan Kulkiewicz nieraz już je przeżywał w wyobraźni. Ale potem gasił świecę i najspokojniej zasypiał. A dziś marzenia jego miał zamknąć czyn. Zbrodnia.

Obmyślił ją tak wyrafinowanie, że nie groziło mu najmniejsze niebezpieczeństwo. Wielkich rzeczy się nie spodziewał, ale zawsze miał nadzieję, na jakieś parę tysięcy rubli. Wdowa od której odnajmował pokój w całej kamienicy uchodziła za osobę skąpą i zamożną. Z pieniędzmi tymi pan Kulkiewicz miał zamiar wyjechać za granicę — nie zaraz, po miesiącu, dwóch, żeby usunąć wszelkie podejrzenia. I tam w wielkich europejskich stolicach puścić się na szerokie wody, zacząć żyć naprawdę.

Pan Kulkiewicz od dawien dawna marzył o tem, aby zostać znakomitym międzynarodowym złodziejem, jednym z tych arystokratycznych opryszków, którzy wprost z balów w salonach ambasady, we fraku, z brylantowymi szpilkami u koszuli udają się do podmiejskich szynków, aby tam wydawać rozkazy podwładnym.

Rozumiejąc, że walka z policją — pan Kulkiewicz nie lubiał tego wyrazu, który brzmiał zbyt trywialnie i myślał zawsze: z detektywami — zwłaszcza z takimi jak Sherlock Holmes — wymaga odpowiedniego przygotowania, kształcił się z zapałem. I z dumą mógł

powiedzieć, że nie było ani jednej powieści kryminalnej, przełożonej na język polski, której by nie czytał. Dzięki temu znał wszystkie podstępny i sztuczki detektywów i z góry wiedział, jak się przeciwko nim zabezpieczyć...

Pan Kulkiewicz nienawidził ludzkości. Dziwić się temu niepodobna, zważywszy, iż wyobrażenia jego o życiu tak były dalekie od rzeczywistości, jak biegun północny od południowego. W duszy czuł się stworzonym do bogactw wielkopańskiego przepychu, awanturnicznych przygód, romantycznych zdobyczy miłosnych, i musiał tłumiąc w sobie te pragnienia i poczucie wyższości zarabiać na skromne utrzymanie, jako subjekt w magazynie bielizny męskiej. Czasami w chwilach zniechęcenia ogarniał go wstręt nawet do siebie samego. Drażniło go to nazwisko Kulkiewicz, które brzmiało tak niearystokratycznie i po mieszczańsku. Marzył wówczas, że jest nieprawym synem jakiegoś udzielnego księcia, i że oto pewnego dnia, książę skruszony na łożu śmierci wezwie go siebie, aby mu oddać tytuł i majątek. Ale dni mijały a posłowie nie zjawiali się w sklepie.

Z obserwacji swych nad życiem pan Kulkiewicz wyciągnął wniosek (miał filozoficzny umysł), że w życiu wszystko jest niesłychanie łatwe, a tylko jedna rzecz trudna zarówno w dobrem, jak i w złem, mianowicie dobra okazyja.

Od dawna już miał upatrzoną ofiarę, wdowę, od której odnajmował pokój, ale wdowa mieszkała z kuzynką i służącą i pan Kulkiewicz czuł dobrze, że ważyć się na zamordowanie trojga krzykliwych istot było niepodobieństwem. Przeklinał los, który zagradzał mu drogę do wyzwolenia się z codziennego jarzma głu-

piemi, drobnemi „okolicznościami“. Aż nagle w chwili, kiedy przygnębiony najmniej się tego spodziewał, kuzynka wyjechała i nazajutrz po niej wyjechała służąca wezwana na wieś telegramem, z powodu śmierci kogoś z krewnych.

Wdowa została sama...

Wszystko to stało się tak prędko, tak niespodziewanie, że pan Kulkiewicz był zupełnie oszołomiony. Ale ponieważ potrafił w trudnych sytuacjach orjentować się z błyskawiczną szybkością, więc odrazu odzyskał zimną krew.

Przez cały dzień jednak był gorączkowo podniecony i musiał niesłychanie panować nad sobą, żeby najmniejszym jakimś mimowolnym odruchem nie zdradzić swego stanu. To silenie się na spokój, podczas gdy wszystkie nerwy w nim drżały było strasznie męczące, zwłaszcza, że odgrywając komedię i nad tem musiał jeszcze czuwać, aby jej nie odgrywać za dobrze. Zdawało mu się, że tego dnia wszyscy: pryncypał, kasyerka i dwaj towarzysze sklepowi przyglądają mu się z jakąś specjalną uwagą. Oczywiście było to tylko urojenie, zgodne z prawami psychologii, nikt jeszcze nie miał powodu o nic go podejrzewać, ale w urojonej swej obawie pan Kulkiewicz widział brak zimnej krwi i potrzebnej siły nerwowej i to go trwożyło. Przed wieczorem był już blizki waryacyi. Z wiru sprzecznych myśli wytworzył mu się taki chaos w głowie, że już nie umiał nad nim zapanować. Pod wpływem zdenerwowania o mało się nie zdradził. Do sklepu wszedł przystojny, wytwornie ubrany młodzieniec i zażądał jakiejś drobnostki. Pan Kulkiewicz podał mu ją z czarującym uśmiechem. Gdy młody człowiek wyszedł, zwrócił się do kasyerki.

— Panno Anno, przystojny facet, prawda?

Panna Anna, szczupła anemiczna blondynka, wzruszyła lekko ramionami, nie podnosząc oczu od książki.

— Nie podobał się pani?

— Proszę mi nie przeszkadzać — syknęła, czerwieniejąc z gniewu.

— Och, pani odrazu się obraża.

— A co pan dziś taki rozkoszny? odezwał się drugi subjekt pan Kazimierz, stając w obronie kasyerki.

Ta uwaga kolegi tak go zaskoczyła, że zmieszał się w jednej chwili, stracił przytomność umysłu. Nie śmiał oczu podnieść i czując, że gdyby się spotkał z czyimkolwiek spojrzeniem, zaczerwienił by się gwałtownie. Przekonany, że wszyscy zwrócili na niego uwagę, chcąc ratować sytuację sam zwrócił się po chwili do kolegi.

— Co pan mi się tak dziś przygląda?

Subjekt wzruszył lekceważąco ramionami.

— Ja panu?

— Błady jestem trochę, prawda?

— A co mnie to obchodzi, czy pan błady czy czerwony.

Pan Kulkiewicz pochylił się ku niemu i mrużąc oczy, szepnął z tajemniczym uśmiechem:

— Brunetka... Wie pan o której się dziś położyłem.

— No?

— O szóstej... Dlatego jestem trochę zdenerwowany.

— Dyabli pana wezmą.

Pan Kulkiewicz uśmiechnął się z zadowoleniem. Ryba połknęła haczyk — przemknęło mu przez myśl.

Uspokoilo go to troche. Ale poczucie, ze o malo sie nie zdradzi, ulegajac zdenerwowaniu nie przestawalo go dreczyc. Zreszta mowil koledze prawde. Rzeczywiscie powroci do domu o szostej rano dopiero. Przypuszczajac, ze moze tego dnia byc niezwykle podnieconym, zawczasu pomyslal o tem, aby podniecenie to moc w naturalny sposob wytlomaczyc.

Wreszcie sklep zamknieto.

Pan Kulkiewicz zjadl pospiesznie kolacye i majac dwie godziny czasu przed soba poszedl w Aleje. Byl cieply, księżycowy wieczor. Po deszczu powietrze pachniało wiosną.

— W ładny czas baba umrze — przyszło mu na myśl. I zdjął go podziw dla własnego cynizmu. Kpić sobie w takiej chwili, to już przechodziło wszystko. Miał wrażenie, że gdyby się był przejrzał w owej chwili w lustrze, to byłby zobaczył przed sobą dyabła. Bo to było demoniczne.

Idąc powoli brzegiem chodnika po raz ostatni kontrolował swój plan, poddając najdrobniejsze szczegóły surowej krytyce.

Ale wszystko obmyślone było znakomicie.

Kamienica, w której mieszkał, miała trzy podwórza. W trzecim mieściły się dorożkarskie wozownie i stajnie i od sąsiedniego domu oddzielał je tylko niewysoki parkan, przez który bardzo łatwo można było przeleźć. Tą drogą pan Kulkiewicz powrócił do mieszkania, unikając w ten sposób spotkania ze stróżem. I tą samą drogą zamierzał po spełnieniu zbrodni wydostać się na ulicę. Z sąsiedniego domu mógł już śmiało wyjść jawnie przez bramę, ponieważ mieszkało tam parę dziewcząt publicznych i stróż przyzwyczajony był do wpuszczania i wypuszczania w nocy nieznanym ludzi.

Dalszy plan jego polegał na tem, aby najspokojniej wrócić do siebie, ostro zadzwonić do bramy, zacząć się o coś wypytywać, żeby go stróż, który mógł być rozespany — dobrze zauważył i wreszcie wszedłszy na górę, zaalarmować cały dom odkryciem zbrodni.

Dotychczas wszystko powiodło mu się doskonale. Niepostrzeżenie wrócił do mieszkania. Na schodach zdjął go lęk, czy wdowa nie zaprosiła której z przyjaciółek na noc do mieszkania, ale uspokoiła go sama. Gdy wszedł nie spała jeszcze. Przez chwilę rozmawiali przez drzwi.

— To pan? — odezwała się niespokojnym głosem.

— Ja.

— Dobrze, że pan wrócił. Sama jedna jestem w domu. Będzie mi raźniej. Dobranoc.

Słyszał, jak odeszła do sypialni, zamykając drzwi za sobą.

Ta krótka rozmowa tak go zdenerwowała, że nie mógł przez długi czas ochłonać. Słowa z ust wdowy padały tak jakoś dziwnie martwo, jakgdyby to już nie żywy człowiek, ale trup mówił... I pana Kulkiewicza zdjął nagle zabobonny lęk. Wykonał nawet taki ruch ręką, jakby się chciał przeżegnać.

— Wpół do drugiej — zaświdrowało mu nagle w mózgu.

Rozpaczliwie wyteżył słuch. Pragnął, aby go doleciał jakiś podejrzany odgłos, któryby dał mu znać, że gdzieś w pobliżu czuwają ludzie i pozwolił jeszcze wszystko odłożyć do jutra. — O drugiej pójde, o drugiej pójde — powtarzał machinalnie, starając się zapełnić całą duszę tą myślą i nie dopuścić innych.

Powoli zaczął się rozbierać.

Serce biło mu tak gwałtownie w piersiach, że ude-



rzenia jego łączyły się w jeden rytm z gorączkowym tykotaniem zegara w sąsiednim pokoju.

Postanowił iść nago. Wdowa mogła się szamotać, bronić i podrzeć na nim koszulę. A kto wie czy jutro nie będą robili u niego rewizyi. Na ręce wciągnął rękawiczki, żeby nie pozostawić na szyi trupa odcisku palców.

I uśmiechnął się zadowolony.

— Sam Sherlock Holmes nicby nie wykrył.

Czekało go jeszcze parę dni niesłychanie uciążliwych i przykrych. Czuł, że trzeba będzie mieć wiele, wiele zimnej krwi i stalowego spokoju nerwów, aby się nie zmieszać pod przenikliwym badawczym spojrzeniem agentów policyjnych, którzy go będą wypytywali.

Nagle zegar w sąsiednim pokoju wydzwonił drugą.

Pan Kulkiewicz przymknął oczy. Ale w tej samej chwili błyskawicznym wysiłkiem woli zapanował nad wzruszeniem, zerwał się z łóżka, i powoli, jak najostrożniej stawiając nogi, żeby mu podłoga pod stopami nie zaskrzypiała, począł się skradać ku drzwiom.

Długi czas bał się ująć za klamkę. Stał i nasłuchiwał.

Mokry pot wystąpił mu na czoło. Przesunął ręką po twarzy, jak gdyby chcąc zapewnić się, że nie śpi. To że szedł zamordować człowieka, wydało mu się nagle czemś tak nieprawdopodobnym i niemożliwym, że własnym ruchom nie wierzył.

Przestał tak z kwadrans. Ochłonawszy, zdał sobie sprawę, że naumyślnie tak wyczekuje, żeby się coś stało, niewiadomo co, coby mu przeszkodziło pójść tam.

I machinalnie ujął za klamkę. Drzwi się otworzyły

bez szelestu. Powoli, wstrzymując oddech w piersiach posuwał się naprzód. Z dziesięć minut upłynęło, nim przeszedł przez pokój oddzielający go od sypialni wdowy.

Teraz już tylko drzwi otworzyć.

Stąpił nagle nieostrożnie i podłoga zaskrzypiała mu pod nogami. W ciszy nocnej rozległo się to tak głośno jak głuchy trzask.

I nagle gdy już miał tylko rękę wyciągnąć, żeby ostatnie drzwi otworzyć, drzwi te otworzyły się same. W progu stanęła wdowa, w koszuli. Blask księżyca padał wprost na nią i wyraźnie oświetlał ją całą.

Pan Kulkiewicz zachwiał się, skulił i w ataku jakiegoś przerażającego strachu, który obezwładnił mu wolę — rzucił się do ucieczki.

Padł na łóżko, naciągnął kołdrę na głowę i wił się w spazmatycznych drgawkach, zagryzając usta do krwi, żeby nie krzyczać.

Po chwili w pokoju ciężko zaskrzypiała podłoga. I usłyszał nad łóżkiem groźny głos.

— To pan tak szanuje przyzwoitą, starszą kobietę?

Nie odpowiedział, tuląc głowę do poduszki. I gdy rozpaczliwym wysiłkiem mózgu szukał jakiegoś wytłumaczenia, wykrętu, który miałyby choć dalekie cechy prawdopodobieństwa, doznał wrażenia jakgdyby czyjaś dłoń musnęła go lekko po włosach i ten sam głos, tylko już łagodniejszy, cichszy, przechodzący nieomal w szept dodał:

— Ja przeczuwałam, że przyjdiesz:

\* \* \*

Pan Kulkiewicz nigdy się żonie nie przyznał, że miał zamiar zamordować ją kiedyś. Ale pojął, że tylko uczciwą drogą można do czegoś dojść w życiu.

**P**rzytulona do boku męża hrabina Julia nawpół przymknęła oczy, poddając się słodkiemu czarowi marzenia. Jeszcze nigdy nie było jej tak dobrze jak w tej chwili. Aeroplan mknął w dal spokojnym, równym lotem jak jeden z owych legendarnych ptaków, które według tradycji dawnymi czasy miały żyć ponad ziemią. Naumyślnie, pragnąc uniknąć spotkania z ludźmi małżonkowie rozkazali chauffeur'owi wznieść się ku ostatnim kręgom atmosfery. Otoczyła ich pustka i cicha rozświetlona złotem pyłem słońca. Było tak cicho, że oboje słyszeli dokładnie bicie serc własnych... Miarowy wartki rytm elektrycznego motoru oszałamiał ich jednostajną, usypiającą muzyką. Była to melodia dzika i prosta. Hrabina Julia wsłuchiwała się w nią z rozkoszą. Tak wyobrażała sobie zawsze tajemnicze dźwięki owych kołowroteków średniowiecznych, na których w XX. stuleciu kobiety przędły len, podczas gdy mężowie ich odchodzili na strajki.

Hrabina Julia myślała nieraz tęsknotą o tych dalekich i pięknych czasach. Pełna prozy, spleciona z drobnych wrażeń współczesność nie odpowiadała jej marzycielskiej, romantycznej naturze. Powtarzała nieraz z melancholijnym półuśmiechem:

— Ja powinnam się była urodzić w średniowiecz-

nych czasach... w jakimś dziewiętnastym, dwudziestym wieku. Wtedyby mnie rozumiano.

I teraz zbudzone suggestywną muzyką aeroplanu w półsennej wizji zamajaczyły się przed jej oczami obrazy z owych epok pełnych bohaterstwa, grozy i naiwnej wiary, czasów, w których fantazyja ludzka zaludniała świat upiorami i koźmi, gdy morza były pełne syren i wielorybów, a ludzie o prostych duszach umieli w swych sześciopiętrowych domkach wierzyć i kochać.

Rozmarzona hrabina wsparła głowę na ramieniu męża.

Była to ich pierwsza schadzka od czasów ślubu. Ulegając namowom męża, hrabina Julia nie szła jednak za wskazaniem serca, poddawała się raczej temu uczuciu, które starożytni nazywali snobizmem. Przyjętem było wśród kobiet z towarzystwa, o ile nie chciały się narażać na śmieszność sentymentalizmu, aby zdradzać kiedy niekiedy kochanków swych z mężem. Hrabina Julia nie zastanawiała się nad tem czy to jest złe, czy dobre. Owa subtelna obawa wyróżnienia, która od najdawniejszych niepamiętnych czasów cechowała wybrane, arystokratyczne duszy, kazała jej ulec namowom męża.

Czuła przytem, że jego prośby i zaklęcia nie były szczerze. Hrabia również chciał tylko zadowolić swą próżność — móc wieczorem opowiedzieć w klubie, że miał przygodę miłosną z własną żoną.

Ale gdy aeroplan wzbił się w powietrze, gdy otoczyła ich cisza i błękit, rozkosz lotu podnieciła zmysły hrabiny Julii. I jak w aparacie fonograficznym z ruchu martwych, nieświadomych sprężyn rodzi się żywy głos, tak samo w duszy jej w owej mechanicz-

nej, gorętszej wibracji nerwów wykwitłe czyste dziewicze uczucie. Z miłością spojrzała na męża...

W jego oczach tliły się już płomyki żądy.

— Chcesz być moją? — wyszeptał zdławionym głosem.

— Chcę — odparła cicho. Wydało jej się w tej chwili, że jest małą, słabą i bezbronną dziewczynką.

Wówczas hrabia, odsuwając się od niej rzucił chaufferowi krótki, urwany rozkaz. Jakby echo odrzucone głosu, wrócił do nich metalowy dźwięk hamulca, otwierającego motor. Aeroplan drgnął, jakby otrząsając się ze stalowych wędzideł, które lot jego hamowały i wolny z cichym świstem skrzydeł popędził w dal. Jak blask błyskawicy, który spada na ziemię małżonkowie wpatrywali się w siebie rozkochanymi oczami. Rozkosz lotu doprowadzała ich do szału. Po chwili błękitna mgła przesłoniła wszystko. Zdało się, że w tej najwyższej chwili miłosnego upojenia, ciała ich rozpląnęły się w błękitnej pustce, przesyconej złotym pyłem słońca.

Ostatnim kręgiem atmosfery aeroplan, szybki jak dźwięk i światło, oblatywał ziemię dookoła. Powietrze z głuchym trzaskiem zamykało się za nim.

Hrabina Julja wycieńczona zmysłową ekstazą, napół nieprzytomna bezwładnie osunęła się w ramiona męża. W tej chwili na znak dany przez hrabiego chauffeur zwolnił lotu. Powoli poczęła odzyskiwać przytomność. Biały aeroplan mknął w dal przez ciche przestrzenie błękitu, podobny do owych wielkich legendarnych ptaków, które według podań dawnymi czasy miały żyć po nad ziemią.

## CHOROBA.

**T**ego dnia pogoda była ohydna. Padał śnieg, pomieszany z deszczem, i rano było tak ciemno, że Kazio pił pierwsze śniadanie przy świetle. Parzył sobie usta herbatą, gdyż ociągał się ze wstawaniem do ostatniej chwili, potem strasznie długo się ubierał, i gdy wreszcie przyszedł do stołowego pokoju, było już po wpół do dziewiątej. Do wyjścia z domu pozostawało zaledwie pięć minut czasu. Z ponurą miną zasiadł przy stole i, pijąc śniadanie, równocześnie gorączkowo przrzucał kartki w gramatyce łacińskiej, którą oparł o cukierniczkę, żeby mu wygodniej było czytać. Wiedział, że napewno będzie dziś odpowiadał z łaciny i z tego powodu postanowił był nawet wstać o godzinę wcześniej, niż zwykle, bo rozumował, że „rano na świeżo“ będzie mu łatwiej nauczyć się lekcji, niż wieczorem. Tak się jednak fatalnie złożyło, że, jak na złość zaspał i wstał znacznie później. Na domiar złego łacina była pierwsza, i na to, żeby podczas pauzy choć coś przeczytać, nie można było wcale liczyć. Był jeszcze niewyspany, litery tańczyły mu w oczach i, przrzucawszy parę kartek, w końcu to tylko zrozumiał, że już ani starej lekcji nie powtórzy, ani nowej się nie nauczy. W niemiłej perspektywie dawało to nową „pałkę“ z łaciny. Ostatecznie do wszystkiego można

się przyzwyczać, więc i do złych stopni również. Wrażliwość Kazia pod tym względem była już stępiona nieco. Karyera wielkiego podróżnika, do której się przygotowywał, wymagała też raczej znajomości narzeczy afrykańskich, niż języków starożytnych. Znajomość łaciny mogła się być wprawdzie czasami przydać do stosunków z misjonarzami, no, ale to nie było konieczne. Tak, zdając sobie jasno sprawę z całej bezcelowości klasycznych studyów, Kazio poświęcał się im tylko dla świętego spokoju w domu. Otóż teraz spokój ten znów był zagrożony.

Melancholijną jego zadumę przerwał głos matki:

— Kazik, bo się spóźnisz. Już dziesięć po wpół do dziewiątej.

W milczeniu wstał od stołu i z grobowym marszem na czole zaczął zapinać tornister. Z całej siły szarpał przytem paski, chcąc je poodrywać, ale rzemienie były mocno przyszyte, niestety. Aby czemś ten zawód wynagrodzić:

— Niech mi mamusia da dziesiątkę na kajet — odezwał się grubym, chrapliwym głosem.

— Jak ty mówisz?

— Bo ja mam chrypkę — odparł, nadymając gardło, aby pogrubić głos jeszcze bardziej.

— Nie masz wcale chrypki — odezwała się ostro matka — i proszę cię, nie udawaj. A na kajety wczoraj dostałeś.

Wnioskując z tej odpowiedzi, że jego sprawa jest już na całej linii przegrana, Kazio wydał z siebie jakiś nieokreślony dźwięk, manifestacyjnie zimno pocałował matkę w rękę i ruszył do przedpokoju po palto. Gorycz wypełniała mu duszę, gorycz, płynąca z poczucia niesprawiedliwości i krzywdy, jaka mu się działa.

Matce zależało na tem, aby się do gimnazyum nie spóźnił, ale to, że on, wychodząc na taki deszcz i śnieg, chory, na ulicę, może już jutro umrzeć, to jej na myśl nie przyszło. Bo to, że był chory, nie ulegało najmniejszej wątpliwości: przedewszystkiem już wczoraj wieczorem wcale się nie mógł uczyć, oczy go tak bolały, że liter nie widział, następnie postanowił się obudzić o godzinę wcześniej, a tymczasem zaspał, no i wreszcie, kiedy się obudził, było mu strasznie zimno. To wszystko były symptomy jakiejś naprawdę poważnej choroby. Może tyfusu albo ospy. Odrazu też, nie podnosząc się jeszcze z łóżka, wyraził wątpliwość, czy będzie mógł pójść do gimnazyum, ale matka rozstrzygnęła te wątpliwości w sposób tak stanowczy, że już nie warto było kwestyi po raz drugi wszczynać.

Czuł tylko, że to się źle skończy. Na ulicy, gdy go owionął chłodny wiatr i śnieg z deszczem począł mu się mazać po twarzy, ogarnął go taki beznadziejny smutek, że aż mu się łzy zakręciły w oczach. Odwinął kołnierz od palta naumyślnie, żeby mu śniegu za koszulę napadało, rozpiął później całe palto i przystanął przed wystawą sklepową. W podnieconej rozgorączce wyobraźni rysował mu się żywo obraz jego choroby. Będzie leżał na łóżku, w malignie, nieprzytomny, a wszyscy w domu, smutni i przerażeni, będą się snuli dookoła niego na palcach. Ale już będzie zapóźno. Umrze. To zakończenie jednak nie bardzo przypadło mu do przekonania, na szczęście fantazya wnet podsunęła mu pomyslniejsze. Nie umrze naprawdę, tylko zapadnie w letarg. Ułożą go w trumnie, na katafalku, wszyscy będą rozpaczali, a on będzie doskonale widział i słyszał, co się dookoła niego dzieje.



Ze smutnych tych rozmyślań zbudziło go nagle dość silne uderzenie w bok. Odwrócił się szybko i ujrzał przed sobą kolegę Jasia Zielińskiego, którego w gimnazjum przezywano Arbuzem. Siedzieli obok siebie na jednej ławce i żyli w przyjaźni. Spotkanie Arbuzem odwróciło odrazu myśl Kazia od groźnych, ale bądź co bądź dalekich jeszcze katastrof ku stokroć narazie smutniejszej rzeczywistości, którą była pałka z łaciny i godzina lub dwie kozy za „uporczywe nieuczenie się lekcji“, wedle urzędowej stylizacji motywów wyroku. Więc na wesołe powitanie Arbuzem odwiedził posępnym mruknięciem.

— Chodź prędko, bo już bardzo późno — zawołał Arbuz, ciągnąc go za rękaw.

Kazio machinalnie przyśpieszył kroku.

— Czegoś ty taki smutny? — dopytywał się go kolega.

— Chory jestem.

— Wielka rzecz — roześmiał się Arbuz — i ja jestem chory, a nic sobie z tego nie robię.

Ta brawura dotknęła Kazia do żywego. Odpark krótko:

— Łżesz.

— Ty sam łżesz — odciął się Arbuz — a jeśli mi nie wierzysz, to patrz!

I z tryumfującym uśmiechem wyciągnął z kieszeni pałta kawałek żółtawej, pomiętej materyi. Był to plaśter od kaszlu, zwany „thapsia“.

— Kazali mi to na piersiach nosić — ciągnął — ale już nie noszę, bo nienawidzę tego świństwa.

Kazio milczał, zgnębiony zupełnie. Do wszystkich jego smutków przyłączyło się przykre uczucie pewnej niższości wobec Arbuzem, który był taki wytry-

mały. Po chwili wzruszył ramionami i odparł z przekąsem:

— Ty nie byłeś naprawdę chory, a ja jestem.

— To wróć do domu i połóż się do łóżka.

— Stąd będę wracał?

Zbliżali się do gmachu gimnazjalnego.

— Wielka rzecz.

— Za daleko.

— Powiedz, że się boisz.

Kazio poczerwieniał. Na taki argument należało właściwie odpowiedzieć silnym uderzeniem pięści. Ale niepodobna się bić na ulicy prawie że tuż pod samymi oknami gimnazjum. Ratując honor, odparł z rozpaczliwym postanowieniem:

— Wróćę.

— Masz, lecz się — roześmiał się Arbuz, wtykając mu swój plaster do kieszeni od palta.

I począł uciekać. Kazio, dotknięty do żywego tem nowem szyderstwem, puścił się za nim w pogoń. Ale Arbuz wpadł już tymczasem do bramy gimnazjalnej. Biedz tam za nim znaczyło to pójść już i na lekcye. Więc, aczkolwiek Kazio dyszał pragnieniem doraźnej zemsty, zatrzymał się jednak. Ostatecznie, zarówno w domu, jak i w gimnazjum, czekało go przykre przejście, i, z dwojga złego wybierając, lepsza była przeprawa z matką w domu, zwłaszcza, że i takby jej nie uniknął. Lepiej jest mieć zawsze jedną przykrość, niż dwie. Kazio postanowił wrócić.

To niesłychanie ścisłe rozumowanie dodało mu fantazyi.

— Powiem, że jestem chory i koniec.

Wogóle postanowił ostro się postawić. Nawet przyspieszył kroku, aby siebie samego przekonać, że so-

bie nic z tego, co będzie w domu, nie robi. Ale, gdy już stanął przed drzwiami mieszkania i nadeszła ostatnia chwila, gdy należało już tylko rękę wyciągnąć, aby zadzwonić, odwaga opuściła go nagle. Do tego stopnia, że aż łyzy zakręciły mu się w oczach. Nieśmiało, pocichutku zadzwonił i, kiedy służąca otworzyła mu drzwi, wszedł do pokoju z głośnym płaczem.

Matka spojrzała na niego przełknięta.

— Cóż ci się stało?

— Taki jestem chory — wykrztusił stłumionym od płaczu głosem — tak mnie głowa strasznie boli, że nic nie widzę.

Matka położyła mu rękę na czole.

Kazio miał czoło zaczerwienione, ponieważ, idąc po schodach, tarł je silnie dłońmi, zawczasu przeczuwając owe domowe oględziny lekarskie, ale, niestety, na nic to się nie zdało... Czoło było chłodne.

— Przyznaj się odrazu, żeś się lekcyi nie nauczył.

— Mama zawsze — jęknął zboliałym głosem.

— Idź do swego pokoju.

— Ja naprawdę jestem chory.

— Zostaniesz dziś na dyjecie.

Kazio poszedł do swego pokoju, ale, pomimo że udało mu się plan swój w całości przeprowadzić, humoru nie odzyskał. Matka oczywiście nie uwierzyła jego skargom i opowieściom o chorobie. Świadczył najlepiej o tem jej obojętny ton. I dzień z tego powodu zapowiadał się chmurnie. Usiadł przy stole. Głowę ukrył w dłoniach i zamyślił się głęboko. Napełniło mu duszę przykre uczucie dręczącej trwogi i oczekiwania. Może już lepiej ostatecznie było pójść do gimnazjum. Co będzie, gdy ojciec powróci?...

Te pytania tak go denerwowały, że począł gorzko żałować swej decyzji. Miał niby to z łaciny odpowiadać napewno, ale przecież mogło się być i tak jakoś ułożyć, żeby go nie wyrwali. I winę wszystkiego począł przypisywać Arbuzowi. Wśród posępnych uczuć, jakie targały mu serce, jedynym jaśniejszym nieco była nadzieja, że jutro, zaraz podczas pierwszej pauzy, da Arbuzowi porządnie „po mordzie“.

Ale była to słaba pociecha wobec przejść, jakie jego samego czekały dzisiaj jeszcze. Najbardziej ze wszystkiego niepokoiła go narazie absolutna samotność, w jakiej go pozostawiono. Wciąż nerwowo wyczekiwał, że matka wejdzie do pokoju, żeby się raz jeszcze z nim rozmówić, tymczasem czas mijał, upłynął kwadrans, pół godziny, a matka nie przychodziła.

To go rozgoryczyło; przecież, żeby nawet naprawdę nie był tak chory, jak mówił, to mama powinna się była przestraszyć. Znow łzy zakreśliły mu się w oczach. Był nie tylko ciężko chory, ale i opuszczony przez wszystkich. Sięgnął po chustkę do kieszeni od palta, aby łzy obetrzeć, i nagle natrafił ręką na plaster od kaszlu, który mu tam wetknął Arbuz. Poczerwieniał z oburzenia, gdy nagle błyskawica genialnej myśli rozświetliła mu mózg.

Uśmiechnął się tryumfująco.

Szybko się rozebrał i położył do łóżka. Potem rozprostował starannie pomietą „thapsię“ i przylepił ją na piersiach. Po pewnym czasie, gdy go ciało zaczęło swędzić, przeniósł plaster na plecy. Kilkakrotnie z uśmiechem błogiego zadowolenia powtarzał tę operację, aż wreszcie osiągnął zamierzony efekt: miał piersi i plecy pokryte drobną czerwoną wysypką.

— Teraz się mama przekona, czy nie jestem na-

prawdę chory — mruknął, ze złośliwą radością zacie-  
rając ręce.

W jednej chwili odzyskał dobry humor. Niepotrze-  
bny już mu plaster zwinął starannie w gałkę i rzucił  
na piec. Następnie podbiegł boso do biurka i, wy-  
ciągnawszy z bocznej kieszeni uczniowskiej bluzki  
wielki notes w ceratowej oprawie, zapisał pod odpo-  
wiednią datą: „Nie poszedłem do sztuby“, a po chwili  
namysłu dodał jeszcze: „Arbuz jest świnia“. Notes ten  
nawpół zapisany, był jednym z jego najcenniejszych  
skarbów. Zazdrościli mu go nawet koledzy. Na pierw-  
szej stronie, starannie wykaligrafowany rondowem pi-  
smem, mieścił się spis dziesięciu najsilniejszych ludzi  
na świecie, dalej był tajny alfabet, szereg niesłychanie  
ważnych informacyi na wypadek rozbicia okrętu,  
wreszcie stopnie, które Kazio na własną rękę stawiał kole-  
gom, ile razy odpowiadali z jakiegokolwiek przedmiotu.

Z sąsiedniego pokoju doleciał go nagle odgłos  
kroków matki. Jednym skokiem rzucił się napowrót  
do łóżka, przytknął oczu, ręce bezwładnie wyciąg-  
nął na kołdrze i skrzywił się niemiłosiernie, chcąc na-  
dać twarzy wyraz najstraszliwszego cierpienia. Ale  
matka nie bardzo się temi zewnętrznymi oznakami  
choroby przejęła.

— Cóż to, do łóżka się położyłeś? — odezwała  
się ostro.

Nic nie odpowiedział, udając, że spi.

— Kazik! — podniosła głos zniecierpliwiona.

Wówczas począł się skarżyć piskliwym głosem.

— Mama mi nie wierzy, a ja się wszystkich lekcji  
wczoraj doskonale nauczyłem, tylko naprawdę jestem  
chory. Takie jakieś czerwone krostki porobiły mi się  
na piersiach i na plecach.

— Pokaż — przerwała mu matka zaniepokojonym tonem, szybko zbliżając się do łóżka.

Dumnym ruchem odsłonił piersi.

Zauważył, że pobladła w jednej chwili, i to sprawiło mu złośliwe zadowolenie. Teraz mama wierzy, że jestem chory... O mało nawet głośno nie wypowiedział tej myśli.

— Obróć się.

Kazio obrócił się posłusznie. Matka długo, bacznie przyglądała się wysypce. Kazała mu potem usiąść na łóżku i sama zapięła koszulę pod szyją. Ręce drżały jej przytem zlekka.

— Pokaż język.

Kazio niechętnie otworzył usta.

— Język masz czysty i ręce chłodne, poczekaj chwilę.

Wyszła z pokoju.

Kazio wiedział, że poszła po termometr. I miał już gotowy plan działania. Gdy mu matka założy termometr pod pachę, pocznie piszczeć, że mu się pić chce, matka wyjdzie na chwilę z pokoju, wówczas on przytknie szybko termometr do drzwiczek od pieca, i wszystko będzie w porządku. Czuł, że jego sprawa jest już na najlepszej drodze. Oczywiście, gdyby się nawet wybieg z termometrem nie udał, to wobec tak jaskrawego dowodu, jakim była wysypka, nikt już w domu nie mógł wątpić o prawdziwości jego choroby.

Radość z odniesionego tryumfu psuł mu tylko głód, który zaczynał dość dotkliwie mu dokuczać.

To było najgorsze, że choroba pociągała za sobą przykre konsekwencje diety. I na to już nie było rady. Kazio zasępił się i uczył w duszy rodzaj żalu

do Pana Boga za to, że, stworzywszy tyle chorób, nie dał ludziom ani jednej takiej, podczas której możnaby jeść wszystko.

Po chwili matka weszła z powrotem do pokoju. Pochyliła się nad łóżkiem, i Kazio, który znów przymknął oczy, udając gorączkową senność, uczuł nagle na ustach długi, gorący jej pocałunek. Jakieś niewypowiedziane bolesne uczucie ścisnęło mu serce. Bał się oczu otworzyć.

— Kazik, Kazik! — wyszeptała nad nim matka cicho.

Spojrzał, i stało się z nim coś tak strasznego, że już sam nie wiedział co. Matka miała oczy pełne łez. Chwyił ją za szyję i tuląc ją gwałtownie do piersi, wybuchnął głośnym, spazmatycznym płaczem.

— Kazik, uspokój się, dziecko moje — wołała przerażona.

A on tak się rozpłakał, że się ani uspokoić, ani słowa wymówić nie mógł. Po dłuższej chwili dopiero, ochłonawszy nieco i nie zważając już na nic, wykrztusił przez łyzy:

— To ja sam to zrobiłem.

## FIZYOLOGIA.

**W** poniedziałek, podczas wielkiej pauzy, Kołkiewicz, który był ostatnim uczniem w klasie, począł organizować na podwórzu konkurs. Chodziło o to, kto najdalej plunie, a stawką miało być śniadanie. Kołkiewicz lubił organizować takie konkursy, ponieważ trudną sztukę plucia na odległość doprowadził do mistrzowskiej doskonałości i zwykle sam wygrywał. Ale wskutek tego coraz trudniej było mu znaleźć amatorów. Tym razem po długich staraniach udało mu się namówić do gry Kazia Strzałeckiego.

Jednakowoż szczęście w grze bywa rzeczą zawodną. Wbrew wszelkim oczekiwaniom, Kołkiewicz przegrał. Kazio pięć razy z rzędu plunął znacznie dalej niż on.

Uradowany, z tryumfującym uśmiechem zwrócił się do kolegi:

— Wygrałem!

Kołkiewicz wrzuszył ramionami.

— Wygrałeś, bo ja ci dałem „for“.

— Jakie „for“? — zaperzył się Kazio, oburzony cynicznym kłamstwem kolegi.

— Naumyślnie pozwoliłem ci wygrać.

Tego już było za wiele. Kazio poczerwieniał.

— Dawaj śniadanie.

— Poczekaj do jutra, bo dziś już zjadłem — rozśmiał się drwiąco Kołkiewicz.



— Świnia jesteś.

Usłyszawszy obelgę, Kołkiewicz poczerwieniał z kolei. Był on jednym z najsilniejszych uczniów w klasie i owa przewaga fizyczna jednała mu powszechne uznanie. Nie tyle go nawet dotknęło porównanie z upośledzonym zwierzęciem, ile sam fakt, że jakiś marny „pierwszoroczniczek“ ośmiela się z nim zaczynać. Postąpił więc krok naprzód i ująwszy się zawadyacko pod boki, wycedził przez zęby:

— Stawiasz się?

— A ty się stawiasz? — odparł Kazio, naśladowując ruch i ton głosu Kołkiewicza.

Przez chwilę mierzyli się wyzywającymi spojrzeniami.

— Przybliż no się trochę — odezwał się wreszcie Kołkiewicz.

— Ty się przybliż.

— Wielka rzecz. Nie takich ja bijałem jak w Kitaju bywałem.

— To chodź!

— Sam nie możesz?

Koledzy otoczyli ich wnet półkolem i poczęli zachęcać do walki.

— Daj mu w gębę!

— Boi się!

Nagle obaj ze wściekłym impetem rzucili się na siebie. Kołkiewicz chwycił Kazia w pól i ponieważ był mocniejszy, po chwilowem szamotaniu przewrócił go na ziemię. Kazio ciągnął Kołkiewicza z całej siły za uszy. Ze złości łzy kręciły mu się w oczach.

— Masz dość, szczeniaku? — odezwał się Kołkiewicz zasapanym głosem.

Odpowiedzieć „dość“ znaczyło się poddać. A Kazio

się zaciął i postanowił raczej umrzeć niż się poddać. Nie umarł, ponieważ w najkrytyczniejszej chwili walkę przerwała interwencja pomocnika gospodarza klasy, który widząc zbitą gromadkę uczniów, nadszedł z drugiego końca podwórza. Ujął obu przeciwników za ramiona i poprowadził do kancelaryi gimnazjalnej, umoralniając ich przez drogę ironicznymi uwagami, których obaj słuchali w ponurem milczeniu. W kancelaryi ustawił jednego w jednym kącie, drugiego w drugim — Kołkiewicza pod piecem, Kazia koło szafy z książkami i zapewniwszy ich, że na tem się nie skończy, wyszedł.

Tak rozdzieleni, Kazio i Kołkiewicz nie mogli już walczyć ze sobą. Drzwi do sąsiedniego pokoju, w którym siedzieli nauczycielowie, były otwarte, tak, że i wymyślać sobie nie mogli, co zawsze ulgę zgorzkniałemu sercu przynosi. Gestami więc wypowiadali swoje wrogie uczucia, przykładając pięści do oczu, policzków, nosa, co przetłumaczone na żywy język miało znaczyć: „Dam ci po mordzie, popodbijam oczy, rozplaszczę nos i t. d.“.

Po chwili do kancelaryi wszedł inspektor. Ujrawszy winowajców, którzy obaj, jakby na komendę, nadali twarzom skruszone i pełne powagi wyrazy, sam również przybrał odpowiednio uroczystą minę i rzuciwszy parę gorzkich uwag o łagodnych obyczajach, które młodzieży przystoją i o dzikich, które jej nie przystoją, posadził obu na dwie godziny do kozy.

Kołkiewicz przyjął wyrok z kamiennym spokojem. Siedział już drugi rok w klasie, a ponieważ był ostatnim uczniem, więc wszyscy wiedzieli, że go wyrzucą. Sam powtarzał nieraz z odcieniem lekkiej dumy w głosie:

— Mnie od wakacyj napewne wyleją.

Kazio przez ambicję również udawał spokój. Nawet gdy się inspektor odwrócił, uśmiechnął się drwiąco, tak, żeby Kołkiewicz to widział, gdyż chciał zaimponować koledze brawurą. Ale w duszy było mu bardzo nieswojo i czuł lekkie ściskanie w gardle. Powróciwszy po pauzie do klasy, przez cały czas lekcji układał w myśli oracyę na ułagodzenie ojca i wreszcie udało mu się „na próbę“ samemu sobie całe zajście opowiedzieć tak, że jego własna niewinność nie mogła podlegać najmniejszym zastrzeżeniom.

Wszystko było dziełem niesprawiedliwości losu i ludzi, które na jego utrapienie podały sobie ręce. W opowiadaniu owem dyskretnie był pominięty szczegół o konkursie na plucie, gdyż Kazio przeczuwał uprzedzenie rodziców do tego rodzaju rozrywek. Postanowił powiedzieć poprostu, że Kołkiewicz chciał mu przemocą odebrać śniadanie. Wogóle cała obrona była tak wymowna i nawet wzruszająca, że mu to dodało otuchy. Przepowiedziawszy ją sobie drugi raz, uśmiechnął się z zadowoleniem.

Bo przykre zajście miało jednak i dobre swoje strony, Kazio czuł, że ta śmiała walka z Kołkiewiczem zyskała mu ogólne uznanie pośród kolegów. Bądź co bądź, na to, żeby nie ustąpić Kołkiewiczowi i bić się z nim, nie każdy by się zdobył. Kołkiewicz cieszył się wielkim miernem w klasie. I miał zresztą po temu wiele słusznych danych. Siedział w klasie drugi rok, a ponieważ przed tem „zimował“ już we wstępnej, więc miał poza sobą cztery lata kariery gimnazjalnej. Był starym, doświadczonym sztubakiem i mógł ze słusznem lekceważeniem patrzeć na swych nowych kolegów, przeważnie świeżo upieczonych, pierwszoklasistów, których

wszystko w gimnazjum napełniało jeszcze lękiem i podziwem. Kołkiewicz palił papierosy, zaciągając się naprawdę i podczas pauz zadawał się przeważnie z trzecio i czwarto klasistami. Towarzystwo własnych kolegów uznawał o tyle, o ile dawało mu ono realne a doraźne korzyści.

Tego wywyższania się jednak nikt w klasie nie brał mu za złe. Przeciwnie — wszyscy starali się o jego względy. Kazio między innymi również. Brawura Kołkiewicza imponowała mu: wiele byłby dał za to, aby móc mieć tak jak on ostatnie, rozstrzygające zdanie w kwestyach wartości marek, gry w stalówki, w piłkę, w klasy...

Wobec tego walka z Kołkiewiczem, pomimo że Kołkiewicz był górą i że pociągnęła jeszcze za sobą przykre następstwa, mogła mu dać pewnego rodzaju moralne zadowolenie. W spojrzeniach kolegów Kazio odczuł, że umieli ocenić jego śmiałość. Dotychczas tak odważnie nikt się Kołkiewiczowi nie postawił.

Po pauzie były już tylko dwie lekcye. O wpół do drugiej uczniowie z gwarem poczęli pakować tornistry i po kilku chwilach klasa opustoszała. Pozostali tylko Kazio i Kołkiewicz. Siedzieli na swych miejscach, udając, że się wzajemnie nie widzą. Po dzwonku pomocnik gospodarza klasy skontrolował ich obecność, po czem woźny zamknął ostentacyjnie drzwi na klucz.

Rozpoczęło się odsiadanie kozy.

W pierwszej chwili, gdy klucz zgrzytnął w zamku, Kazio doznał niemiłego uczucia, którego się sam przed sobą zawstydził, bo było ono niestety najzwyczajniejszym strachem. Teraz, gdy pozostali we dwóch tylko, Kołkiewicz mógł go porządnie nabić. W samotności wróg wydawał mu się groźniejszym niż w tłumie. Spoj-

rzał na niego ukradkiem. Kołkiewicz stał przy oknie i wyglądał na ulicę. Na Kazia nie zwracał najmniejszej uwagi. Ale Kazio nie dowierzał jego obojętności. Wydawało mu się nieprawdopodobnem zupełnie, aby dwie godziny przesiedzieli ze sobą i aby nic między nimi nie zaszło. Obawa świeżej kary powstrzymać Kołkiewicza od zaczepki nie mogła, gdyż wszelkie przykrości, jakie go ze strony władz gimnazjalnych spotkać mogły, znosił z absolutną obojętnością.

Upłynął dobry kwadrans. Kołkiewicz stał wciąż nieruchomo przy oknie, jak skamieniały. Kazia zaciekało, na co on może tak patrzeć. Podszedł więc do drugiego okna i wyrztał na ulicę. Ale nic zajmującego nie zobaczył: domy i szyldy, które już umiał na pamięć.

Powrócił więc na miejsce i dla zabicia czasu rozłożył przed sobą książki, postanowiwszy uczyć się lekcji na jutro. Wyczekiwanie jednak tego czegoś, co miało jeszcze zajść pomiędzy nim a kolegą denerwowało go. Dla dodania sobie fantazyi począł gwizdać.

Kołkiewicz odwrócił się od okna.

— Nie gwizdź, bo „małpa“ usłyszy i jeszcze godzinę będziesz siedział.

„Małpa“ było to przezwisko pomocnika gospodarza klasy.

Uwaga Kołkiewicza, a zwłaszcza ton jego głosu, zupełnie przyjacielski, tak były wprost przeciwne temu, czego się Kazio spodziewał, że go to zmieszało. Poczzerwieniał, spuścił oczy i umilkł posłusznie.

Kołkiewicz wówczas zbliżył się do tablicy i kawałkiem kredy narysował na niej fajkę. Kazio domyślił się od razu, że jest to fajka pokoju i że mu kolega w ten symboliczny sposób proponuje zgodę. Napełniło mu to duszę uciechą, bo aczkolwiek bójki z Kołkie-

wiczem mogły mu przynosić zaszczyt, jednak przyjaźń z nim była również zaszczytna, a znacznie miłsza. Czuł, że z kolei jemu wypada uczynić jakiś krok w kierunku zbliżenia i zgody, oszołomiony jednak niespodziewanym obrotem rzeczy nie wiedział jak się wziąć do tego.

— Wiesz, co to jest? — odezwał się nagle Kołkiewicz, zwracając się ku niemu.

— Wiem — odparł Kazio uroczyście.

I z wyciągniętą dłonią zbliżył się do Kołkiewicza.

— Pogódźmy się...

— Dobrze — odparł Kołkiewicz, podając mu rękę. Z tobą mogę się pogodzić, bo nie jesteś tchórz.

— Nie — odparł dumnie Kazio.

Kołkiewicz popatrzył na niego badawczo i po chwili dodał:

— Głupi jeszcze z ciebie szczeniak, ale to nic.

Jako opinia może to nie było pochlebne, lecz ton głosu Kołkiewicza świadczył najwyraźniej, że nie miał on zamiaru obrażać Kazia. Było w tem raczej rozżalenie człowieka, który biada nad niższością umysłową bliźniego. I Kazio się nie obraził. Nieśmiało, jakby uznając w zasadzie słuszność spostrzenia, zapytał:

— Dlaczego?

— Dlaczego? — zadziwił się Kołkiewicz, bo jesteś głupi szczeniak i koniec.

To się Kaziowi nie podobało.

— Wcale nie — odparł ostro.

— Phi... — mruknął lekceważąco Kołkiewicz — jak nie jesteś szczeniak, to mi powiedz, skąd się dzieci biorą na świecie?

Kazio spojrział na niego ze zdziwieniem. To, że był na świecie, wystarczało mu najzupełniej i nad tem,

skąd się wziął, nigdy się nie zastanawiał. Pytanie Kołkiewicza zbiło go z tropu.

— Ty pewno wierzysz, że dzieci to bociany przynoszą — ciągnął Kołkiewicz z ironicznym uśmiechem.

— Wcale nie.

— No, to powiedz.

Kazio zaczerwienił się jak rak. Doznawał takiego uczucia, jak gdyby Kołkiewicz był najostrzejszym z nauczycieli, a on nie umiał ani słowa lekcji. Po chwili wyksztusił:

— Taka pani przychodzi w nocy.

— Widzisz, że nie wiesz — roześmiał się tryumfująco Kołkiewicz, to wcale nie jest fizjologia.

— Co?

— Fizjologia. Tak się mówi po doktorsku.

Pytania Kołkiewicza tak zdenerwowało Kazia, że był bliżki płaczu. Sam nie wiedział, dlaczego go to tak rozdrażniło, czuł jednak jakiś nieokreślony niepokój. Z lękiem prawie wyszeptał:

— No to powiedz.

— Ba, odparł Kołkiewicz — za darmo ci nie powiem. Oddasz mi jutro i pojutrze śniadanie?

— Oddam.

— I daj mi słowo honoru, że nikomu nie powtórzysz, że to ja ci powiedziałem.

— Daję słowo honoru — wyszeptał Kazio uroczyście.

Kołkiewicz zmierzył go badawczym spojrzeniem.

— Nie — dodał po chwili — słowo honoru to za mało, przysięgnij mi na co masz najświętszego.

Tak straszna przysięga wydawała się Kaziowi świętokradztwem. Zawahał się i po chwili drżącym głosem zapytał:

— Ale ja się będę musiał z tego spowiadać, że przysięgałem.

— Będiesz — odparł poważnie Kołkiewicz. — No cóż?

Kazio bladł i czerwienił się naprzemian. Wreszcie odezwał się ponuro.

— Przysięgam, na co mam najświętszego.

Usiedli obaj na stopniach katedry i Kołkiewicz przyciszonym głosem rozpoczął opowiadanie.

Kazio słuchał go z zapartym oddechem. Błady był i trząsł się jak w febrze, bo choć nie wszystko, co mu Kołkiewicz opowiadał, mógł dobrze zrozumieć, ale z jednego zdawał sobie dokładnie sprawę: że teraz, wiedząc co to jest fizjologia, już nigdy w życiu nie dostanie rozgrzeszenia i pójdzie napewno do piekła.



I.

O d paru dni Kazio chodził zamyślony i ponury. Zwróciło to nawet uwagę w domu, ale ponieważ przez dziwny zbieg okoliczności w tym samym czasie dostał był aż dwie „pałki“ i to z najważniejszych przedmiotów, bo z łaciny i z języka rosyjskiego, więc jego smutek nie tylko nie zatrwożył rodziców, lecz nawet ucieszył ich poniekąd, jako objaw pewnej skruchy i duchowego skupienia, których pożądaniem następstwem mogła być większa pilność w naukach.

Tkwiło w tem nieporozumienie. Kazio nie smucił się z powodu złych stopni. Do końca kwartału pozostawało jeszcze sześć tygodni i wzięwszy się ostro do roboty mógł się poprawić, ba nawet pierwszym jeszcze uczniem zostać. Przyczyny jego smutku były znacznie głębsze. Oto, myśląc o swoich troskach doszedł nagle do wniosku, że życie ludzkie niema najmniejszego sensu i składa się z samych zmartwień. Przynajmniej jego życie. Inni ludzie byli szczęśliwsi, nad nim zaś los znęcał się w fatalny sposób. Jaskrawym dowodem tego były choćby te dwie ostatnie „pałki“. Idąc owego nieszczęsnego dnia do gimnazjum, Kazio był tak pewien, że nie będzie odpowia-

dał ani z łaciny, ani z języka rosyjskiego, że głowę byłby dał sobie uciąć za to — tymczasem jak na złość z obu przedmiotów wyrwano go pierwszego, mimo, że w klasie było jeszcze paru takich, którzy nie odpowiadali wcale. Wobec tej widocznej złośliwości losu Kazio uczuł się bezsilnym zupełnie. Zachwiało to w nim wiarę w sprawiedliwość świata. A wogóle i bez tego życie było smutne i nudne. Codziennie musiał zrywać się o ósmej zrana, wtedy właśnie, kiedy mu najbardziej się spać chciało, potem siedzieć w gimnazjum, potem uczyć się do wieczora najrozmaitszych głupich i niepotrzebnych rzeczy i wogóle wciąż coś robić nie dla siebie. Wreszcie o dziewiątej musiał się kłaść spać. Ten mus także go oburzał. Uważał, że odkąd wstąpił do gimnazjum i przestał już być małym dzieckiem, rodzice nie mieli prawa tak bezwzględnie narzucać mu swej woli, zwłaszcza że miał w klasie kolegów, którzy opowiadali, że chodzą spać wówczas, kiedy im się podoba i siadają nieraz do jedenaściej i dwunastej.

To wszystko napełniło duszę Kazia beznadziejnym smutkiem. Wiedział, że gdy dorośnie, wówczas będzie mógł żyć dla siebie, ale na to trzeba było jeszcze tak strasznie długo czekać, że traciło się już nawet ochotę do czekania. Gdybym ja był Panem Bogiem — myślał rozgoryczony — ludzie rodziliby się od razu dorośli.

I czuł, że byłoby znacznie lepiej na świecie.

Podczas pauzy po przedostatniej lekcji zwrócił się do sąsiada.

— Wiesz, Arbuz — odezwał się tajemniczym tonem, ja o jednej rzeczy myślę, ale to tak, że mało mi głowa nie pęknie.

— O czym? zadziwił się Arbuz.

— Nie powiem ci — odparł Kazio, w którym nagle zbudziła się chęć zaimponowania koledze tajemniczością.

Arbuz wzruszył lekceważąco ramionami. Wyznanie Kazia zaciekało go jednak. Przedewszystkiem zaś nie chciał być gorszym. I po chwili odezwał się z godnością:

— I ja o jednej rzeczy myślę, ale ci także nie powiem.

Z kolei Kazio się zadziwił.

— Naprawdę? — zapytał nieufnie.

— A cóż tobie się zdaje, że tylko ty możesz myśleć? — odparł Arbuz opryskliwie.

— A o czym ty myślisz?

— Phi, o różnych rzeczach.

— O wesołych, czy o smutnych?

— Co ci do tego.

— Ja o smutnych.

Dalsze wyznania przerwało im wejście pomocnika gospodarza klasy. Wszyscy uczniowie jak na komendę podnieśli się z miejsc i w pokoju zapanowała momentalna cisza. Padły w nią słowa krótkie, ale pełne wesołej treści:

— Ostatniej lekcji nie będzie... możecie iść do domów.

\* \* \*

Guwernantka z młodszymi dziećmi nie powróciła jeszcze ze spaceru, matka wyszła, nikogo nie było w domu.

Kazio z furią cisnął tornister pod stół, a sam począł skakać po pokoju na jednej nodze, przyśpiewując:

— Śpi tu lis... kra kre mija... kipi żur...

Korzystając z tego, że był sam, darł się na całe gardło.

Strasznie był wesół.

Tą ostatnią lekcją, która mu się tak niespodziewanie upiekła, miała być geografia. I według wszelkich wyliczeń Kazio powinien był dziś właśnie z niej odpowiadać. Umiał wprawdzie to, co było zadane, ale dawniejszych lekcyj nie powtarzał, „Kusy“ zaś, (tak z powodu niskiego wzrostu przezywano nauczyciela) miał zły zwyczaj wypytywania z „poprzedniego“. Wogóle ostatnie lekcye były najgorsze, najnudniejsze i najzdrażliwsze. Kazio miał wrażenie, że ta piąta godzina od wpół do drugiej do wpół do trzeciej jest tylko rodzajem pułapki, zastawionej na tych wszystkich, którzy szczęśliwie przebrnęli pierwsze cztery. Nie chciało się już myśleć, ani uważać, najłatwiej było dostać pałkę i godzinę kozy.

W jednej chwili, usłyszawszy, że geografii nie będzie, Kazio zapomniał o wszystkich swoich smutkach i zniechęceniu do życia. Taki był wesół, jakgdyby mu dusza wykręciła się nagle na jasną stronę. Gdy mu wreszcie od śpiewania tchu zbrakło, pobiegł do stołowego pokoju.

Służąca nakrywała stół do obiadu.

Ujrawszy ją Kazio, zmarszczył groźnie brwi i odezwał się:

— Słuchaj Maryśka, po jakiemu ja mówię?

Następnie jednym tchem wyrzucił z siebie:

— Kra kre mija... śpi tu lis... kipi żur.

Maryśka, młoda dziewczyna, niedawno dopiero przywieziona ze wsi, spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Czy ja wiem?

— Śpi tu lis... kra kre mija... kipi żur... powtórzył Kazio dla większej powagi, uderzając pięścią w stół, aż talerze zadźwięczały.

— Niechże panicz da spokój, bo się jeszcze co stłucze i pani będzie się gniewała — zatrwożyła się Maryśka.

Kaziowi wydało się to niestownem, żeby mu służąca zwracała uwagę.

— To moja rzecz — odparł ostro. Ty mi powiedz, po jakiemu ja mówię.

Marysia wzruszyła ramionami.

— Skąd ja mogę wiedzieć?... Ja po szkolnemu nie rozumiem.

Wyznanie to udobruchało Kazia.

— To jest po łacinie — odparł z powagą — i znaczy zupełnie co innego.

Widząc, iż służąca skończyła nakrywać do stołu i zwraca się ku drzwiom szybko, zabiegł jej drogę.

— Czekał, musisz zdać egzamin — zawołał rozkazującym tonem. Inaczej cię nie puszczę... Powiedz mi, ile razy jest pięć razy siedm, ale prędko odrazu.

— Niechże panicz da spokój — niecierpliwiła się Marysia.

— Widzisz, nie wiesz.

— A panicz to wie odrazu?

— Wiem, dwadzieścia dziewięć. A teraz powiedz mi...

Zawahał się, chcąc wymyśleć jakieś trudne pytanie. Ale Marysia nie miała chęci przedłużać tej pożytecznej rozmowy.

Odezwała się opryskliwie.

— Niech mnie panicz puści, bo ja nie mam czasu...

— Wstyd ci, bo nie umiesz — zawołał Kazio. I zabawiony począł udawać nauczyciela łaciny.

— Głupia jesteś, jak stołowe nogi, świnie powinnaś pasać! krzyczał — imitując jego głos i ruchy i powtarzając te same argumenty, którymi on w pedagogicznym zapale usiłował wszczepiać w dusze uczniów zamiłowanie do bezinteresownej nauki.

Było to bardzo zabawne, ale Marysia, głupia wiejska dziewczyna, nie odczuła ani stylu zabawy, ani mistrzostwa, z jakim Kazio nauczyciela udawał. Usłyszawszy stek obelg, poczerwieniała z gniewu.

— Niech się panicz nie przeżywa, bo pani powiem.

— Milczeć! krzyczał Kazio, wymachując dziewczynie pod nosem pięściami, zupełnie tak samo, jak ich gospodarz klasy, gdy się na kogo gniewał.

To doprowadziło dziewczynę do pasyi. Chwyliła Kazia za rękę, chcąc go przemocą odciągnąć ode drzwi. W nim zawrzała krew nagle. Kopnął ją z całej siły.

Marysia wybuchnęła głośnym płaczem. I to było nieprzewidziane. Kazio się zmieształ. Słyszał, jak służąca, wciąż płacząc, głośno skarżyła się w kuchni i zapowiadała, że podziękuje za służbę.

Ta ostatnia groźba niemile dotknęła Kazia.

— Głupia mruknął — ledwo jej dotknąłem.

Ale, mimo, że był przekonany, iż Marysia namiętnie udaje i przesadza, humoru mu to nie poprawiło. Ze złością zatrzasnął drzwi od korytarza, wiodącego do kuchni, żeby przynajmniej płaczu dziewczyny nie słyszeć i chmurny zbliżył się do okna.

Właśnie w tej samej chwili nadpłynęła nowa chmura i słońce, które tego dnia kryło się raz po raz, czyli, jak Kazio mówił, świeciło w „przeplatanke“, przygasło znów. Na białe ściany oficyn padł szary cień, szyby w oknach straciły nagle migotliwy połysk.

I Kazio posmutniał tak samo, jak cały świat. Przed minutą jeszcze był wesół, chciał się bawić w jaknajlepsze, aż tu nagle wszystko popsuło się nie z jego winy. I nie mógł pojąć, dlaczego się tak stało, skoro on sam chciał, żeby wszystko było wesoło. Czuł tylko, że w życiu co chwila dzieje się coś głupiego i niesprawiedliwego.

## II.

— Słuchaj, Arbuz, czy ty się ożenisz?

— Może, jak dorosnę.

Kazio wzruszył pogardliwie ramionami.

— Ja się nigdy nie ożenię.

— Dlaczego?

— Bo nienawidzę kobiet...

— Naprawdę? — zadziwił się Arbuz.

— Słowo honoru ci daję.

Arbuz spoważniał. Kazio mówił tak uroczystym tonem, iż czuć było, że pozatem, co mówił, kryły się jakieś bardzo poważne rzeczy.

— Dlaczego nienawidzisz? — dopytywał się Arbuz.

— Bo głupie są — odparł Kazio z głębokim przekonaniem. I właściwie nie powinno być kobiet na świecie. Jakbym ja stwarzał świat, toby kobiet wcale nie było, tylko sami mężczyźni. A kobiety kazałbym wieszać, potem ścinać im głowy i topić.

Okrucieństwo Kazia zaimponowało Arbuzowi. I on w duszy lekceważył kobiety, które były znacznie słabsze i mniej wytrzymałe od mężczyzn, ale tak wrogich uczuć względem nich nie miał. Po namyśle odezwał się z tryumfującym uśmiechem.

— A z kim ludzie żeniliby się, jakby kobiet nie było?



— Wcale by się nie żenili.

— Jakto wcale?

— Ma się rozumieć. Skoro księża mogą się nie żenić?

Arbuz umilkł, nie umiejąc znaleźć odpowiedzi na miażdżący argument.

— A jakby się ludzie nie żenili, toby dzieci nie było, bo przecież żeby mieć dzieci, trzeba się ożenić.

Kazio wydał lekceważąco usta.

— Phi, wielka rzecz, że jest taki zwyczaj... to można zmienić.

— Toby nikt nie miał ani matki, ani sióstr — bronił kobiecej sprawy Arbuz.

— Miałby za to samych braci.

— I wszyscy by po męsku chodzili?

— Wszyscy.

Arbuz, który miał liczne rodzeństwo, wyobraził sobie, jakby jego matka i trzy siostry wyglądały w męskich przebraniach. I myśl ta bardzo mu się podobała. Roześmiał się wesoło i odrazu nabrał sympatii dla projektów Kazia.

— Wiesz, że toby było doskonale.

— I wtedy dopiero dobrze by było na świecie. Ja nie cierpię bab.

Po chwili dodał tajemniczo:

— I jak dorosnę, będę zabijał kobiety.

— Wiesz, przerwał mu żywo Arbuz, w Ameryce jest taki człowiek, nazywa się Kuba rozpruwacz, który zabija kobiety i skalpuje.

— Wcale nie, poprawił go Kazio, nie skalpuje, tylko na piersiach wycina im krzyż, tak jak Duch Puszczy. I to nie jeden człowiek, tylko całe stowarzyszenie. Ja także, jak pojedę do Ameryki, to się zapiszę.

- Kłamiesz — przerwał mu Arbuz.  
— Wcale nie.  
— No to przysięgnij.  
Kazio zawahał się chwilę. Ale nie wypadało mu się cofać.  
Odparł mężnie:  
— Jak Boga kocham.  
W myśli dodał jednak na wszelki wypadek „że dziś jest czwartek“ tak, że przysięga wypadła „jak Boga kocham, że dziś jest czwartek“. I to była najzupełniejsza prawda.  
Arbuz spojrział na niego przerażony.  
— To teraz będziesz się już musiał zapisać.  
— Bo ja się naprawdę zapiszę.  
Umilkli.  
— Dlaczego ty tak nienawidzisz kobiet — odezwał się Arbuz.  
— Ja od dziecka nienawidziłem — odparł Kazio z dumą.  
— A ty się zapiszesz? dodał, mierząc kolegę wyzywającym spojrzeniem.  
— Ja? — odparł niezdecydowanie Arbuz.  
— Boisz się?...  
— Nie, tylko przecież jabym mamy ani siostr nie mógł zabijać.  
— Mamy i ja nie będę zabijał — uspokoił go Kazio. To się zabija obce kobiety. No, zapiszesz się? — nalegał.  
— Nie wiem jeszcze, namyślę się, odparł Arbuz, marszcząc ponuro czoło.  
— Tchórz jesteś.  
— A ty wszystko kłamiesz...  
Dzwonek korepetytora na szczęście przerwał roz-

mowę. Koledzy rozstali się w zgodzie, ponieważ Arbuz zmiarkowawszy, iż postąpił nietaktownie zapewnił Kazię na odchodnym, że i on zapisze się do towarzystwa Kuby-rozpruwacza.

Cały wieczór wypełniły Kaziowi marzenia o tej nowej karierze pełnej niebezpiecznych przygód i romantycznego uroku. Chodząc po pokoju z książką w ręce, żeby mieć każdej chwili dowód, że się uczy lekcyi, przeżywał w rozgorączkowanej wyobraźni przyszłe wrażenia Kuby-rozpruwacza. Oczywiście pierwszą ofiarą miała być Maryśka, która naskarżyła dziś na niego przed matką. Myśl o tem, jak się będzie nad nią znęcał, sprawiała mu jakąś nieznaną i denerwującą przyjemność, ale tak wielką, że w końcu wszystkie marzenia złączyły się w jednym obrazie Maryśki nagiej i związanej powrozami w tym momencie, gdy on on powoli pochylał się nad nią z nożem.

Potem postanowił zwierzyć się nazajutrz ze swoich projektów Kołkiewiczowi. Kołkiewicz był ostatnim uczniem w klasie i uchodził za najsilniejszego. Wśród wielu drobnych szczegółów zachowania i stroju, którymi wyróżniał się z pośród kolegów i imponował im, ważne miejsce zajmowała jego czapka. Była to czapka prawdziwie „studencka“ w dwóch miejscach rozdarta i tak wyszarzana, jakgdyby służyła właścicielowi nie za nakrycie głowy, ale za kalosz. Pozatem miała zupełnie oderwany daszek, dzięki czemu Kołkiewicz mógł ją zakładać z daszkiem lub bez, co było niesłychanie efektowne. Wreszcie na urągowisko przepisom gimnazjalnym, które kazały uczniom podpisywać nazwiska na daszkach czapek, Kołkiewicz wykligrafował na swojej jeden wyraz krótki, ale bardzo nieprzyzwoity i doskonale symbolizujący jego absolu-

tną pogardę dla wszelkich uroszczeń zwierzchności szkolnej.

Myśląc o Kołkiewiczu i o spisku Kuby rozpruwacza Kazio postanowił, że dla sprzysiężonych takie właśnie czapki będą doskonałą oznaką. I ucieszony tym szczęśliwym pomysłem zaraz po kolacyi począł się wyrafinowanie znęcać nad swoją własną czapką, która była nowa i urzędowo sztywna. Wypruł scyzorykiem druty, które nadawały jej kształt i potem, aby prędko i skutecznie nadać jej zupełnie odpowiedni wygląd, założył ją na but i począł wycierać podłogę.

I tak go to zajęcie pochłoneło, że zapomniał o mordowaniu kobiet.

## W GABINECIE.

**K**iedy hrabia Olek wszedł do gabinetu całe towarzystwo było już nawpół pijane. Władka z głośnym śmiechem rzuciła się mu na szyję i wpiła w usta tak namiętym pocałunkiem, że mu aż tchu zabrakło. Zniecierpliwiony w pierwszej chwili chciał ją odepchnąć, ale momentalnie zapanował nad sobą i nawet objął ją wpół.

— Ma pan hrabia szczęście — parsknął z kąta ironicznym śmiechem młody Stern.

Stern kochał się w Władce i był o nią szalenie zazdrosny.

Wstyd mu jednak było przyznać się do tego i zdenierwowanie, jakie go ogarniało zawsze, ilekroć widział Władkę w czyimś uścisku, starał się maskować sztucznym, krzykliwym humorem. Zazdrość sprawiała mu niewysłowiony ból. Aby go zgłuszyć, przymuszał się do picia i poił wszystkich winem. Wogóle sam pił mało i podczas kolacyi wylewał niepostrzeżenie kieliszki, gdyż był chorowity i obawiał się o swoje zdrowie.

— Jeszcze raz się pocałujcie! — krzyknął, widząc, że hrabia Olek wypuszcza Władkę z objęcia.

— Władka gra komedye, żeby w panu zazdrość wzbudzić.

Wzruszył pogardliwie ramionami.

— We mnie zazdrość?

Hrabia Olek popchnął zlekka ku niemu Władkę.

— Pocałujcie się...

— Nie... nie... nie... Ja wolę pić... O, pan hrabia stoi tuż koło dzwonka, może pan zadzwoni... przepraszam bardzo. Gdy Władka zbliżyła się ku niemu, odepchnął ją brutalnie.

— A, daj mi spokój... Zmęczony jestem.

Ale gdy ona, nie zważając na to, pochyliła się nad nim i przytykając prawie usta do jego ust szepnęła „głupi dzieciak“, twarz mu się rozjaśniła. Władka zmęczona usiadła na kanapie i oparła nogi na jego kolanach. Chciał jej powiedzieć „jedźmy do domu“, ale się bał, że parsknie śmiechem i powtórzy to wszystkim głośno.

Hrabia Olek siedział teraz przy stole, odwrócony do nich bokiem. Zżywieniem opowiadał o jakimś pojedynku. Sterna dolatywały urywane zdania.

— W ten sposób absolutnie postępować nie można, Więc powiedziałem, albo ci panowie...

Inni słuchali go uważnie. We wszystkich, najważniejszych sprawach honorowych opinia hrabiego Olka była ostateczną i decydującą niby wyrok senatu. Musieli to uznać wszyscy, nawet ci, którzy dopytywali się ironicznie z czego hrabia Olek żyje, skoro wiadomo było, że wszystko, co miał, dawno stracił.

Stern, który, aby pokryć zdenerwowanie udawał znów śmiertelnie zmęczonego, przyglądał mu się z jakimś dziwnym uczuciem w duszy, którego nigdy by nie potrafił być określić. Było to prawie uwielbienie. Już nie przeczuwał, ale wiedział, że Władka zdradza go codziennie, że jest kochanką hrabiego Olka. Nie dlatego, że się po pijanemu całowała z nim w gabinecie...

Drobne fakty, błyskawiczne spostrzeżenia kojarzyły mu się w mózgu w szereg myśli, który się rozwijał ze stałową logiką, jak zadanie matematyczne. Wyobraził sobie, że Władka, która, kokietując go z obowiązku, usiadła na chwilę przy nim, musi cierpieć tak samo jak i on.

— Czekaj — odsunął ją od siebie i podniósł się z krzesła.

— Co?

— Zmęczony jestem, pojedę już do domu...

— Ale siedź pan, — odezwał się nagle hrabia Olek, odwracając się ku niemu. Kto słyszał wracać o tej porze... Bawimy się wszyscy jaknajlepiej, a on chce uciekać.

— Skoro zmęczony... — odezwał się ktoś.

— Ale, niema zmęczenia.

Stern, niezdecydowany usiadł przy stole. Ubodło go to „skoro zmęczony“. Czuł się trochę nieswojo w tym towarzystwie przeważnie wiejskiej młodzieży, w które go hrabia Olek wprowadził. Czasami bunt się w nim zrywał: „Po co ja się z tą hołotą zadaję, jeden głupszy od drugiego...“

Ale wszyscy byli dawni znajomi Władki i Władka bardzo ich lubiała...

Siedział nawprost dużego lustra w złożonych ramach, które całe tak było poryte podpisami, że wyglądało jakby zasmarowane mydłem. Tylko pośrodku ocalała niebieskawa smuga. I Stern widział w niej swoją twarz, karykaturalnie wydłużoną. I tak się sam sobie wydał w tej chwili komicznym, że się nie mógł powstrzymać od śmiechu.

— A morda...

Spocone włosy rzadkimi kosmykami poprzylepiały

mu się do czoła. Twarz na długiej cienkiej szyjce nabrała jakiegoś żalostnego, ptasiego wyrazu.

A hrabia Olek znów przysunął się do Władki i znów szeptali coś ze sobą po cichu.

— Umawiają się na jutro.

Wizya rozkoszy, jakie będzie przeżywała Władka, zamroczyła mu umysł. Zdawało mu się przez chwilę, że wszystko dookoła zaczęło się łagodnie kołysać. Stracił był prawie przytomność. Otrzeźwił go hałaśliwy dźwięk pianina. Jeden z mężczyzn wystukiwał, myśląc się co chwila, melodyę popularnej piosenki, a Władka przyśpiewywała pijanym głosem.

— Żeby moje skrzypki grały...

Stern, na którego nikt nie zwracał uwagi, podszedł do okna, uchylił je i wyrzwał na ogród. Owionął go wilgotny, orzeźwiający chłód. W oddali ponad ciemną gęstwiną drzew złociła się rudawa łuna wschodzącego księżyca. Niebo po całodziennym deszczu poczynano się już przecierać trochę, tu i ówdzie wśród chmur świeciły gwiazdy.

Przyszło mu na myśl, że do pokoju płynie chłód i Władka, która była rozgrzana, może się przeziębć.

Cofnął się szybko i zatrzasnął okno.

Władka przestała śpiewać. Wszystkich ocieżyło chwilowe zmęczenie i gwar przycichł. Władka zlała na talerz z kilku kieliszków resztki likieru i zapaliwszy je, zmęczonem, bezmyślnem spojrzeniem wpatrywała się w niebieskawy płomień. Z sąsiedniego pokoju dołatywały przez ścianę przytłumione dźwięki mandolin.

Hrabia Olek podniósł się z kanapy i ociężałym krokiem wyszedł z gabinetu. Na korytarzu zatrzymał się przed lustrem, obciągnął kamizelkę, machinalnie poprawił włosy i zeszedł na dół do bufetowej sali.



We drzwiach spotkał się z wysokim, tęgim blondynem w smokingu. Obejrzał się pośpiesznie i niedbale podał mu końce palców.

— Dobry dziś wieczór, nieprawda? — odezwał się po francusku.

— Pas mał, pas mał... — odparł Francuz, układając fioletowe, bezkrwiste wargi do mechanicznego uśmiechu.

I dorzucił poufałym tonem.

— Ça marche toujours?

Hrabia Olek udał, że nie dosłyszał pytania. W sali bufetowej pusto było zupełnie. Tylko za długim kontuarem, zastawionym butelkami i talerzami, na których leżały przekąski, siedział przy niewielkim stoliku gospodarz, szczupły, drobny z czarną bródką i świdrującymi oczami ajenta policyjnego. Czytał gazetę. Przed nim na stole stała niedopita szklanka herbaty z cytryną. U drugiego końca kontuaru drzemała na krzesle tęga, rozlana blondyna z włosami umalowanymi na jasno złoty kolor.

Hrabia Olek pochylił się nad kontuarem.

— Wiecznie zaczytany...

Gospodarz zerwał się pośpiesznie.

— Moje uszanowanie panu hrabiemu — odparł wspinając się na palcach, żeby mu podać rękę.

— Ładny rachuneczek dziś się robi, co?

— Dziś — westchnął gospodarz.

— Dziś — oburzył się hrabia Olek. — A onegdaj, a w niedzielę, a w zeszły piątek. Ile dziś wypadnie?

— Z ośmdziesiąt rubli.

— Daj no pan na rachunek dwadzieścia pięć...

— Panie hrabio...

— W przyszłym tygodniu Wiś przyjeżdża do War-

szawy. Takich parę zabaw u pana urządzę, że się to wszystko odrazu wyrówna.

— Kiedy to się wyrówna?..

Hrabia Olek zmierzył gospodarza przeciągłym zdziwionem spojrzeniem.

— O, pan hrabia zaraz się obraża... W interesie to jak na spowiedzi, wszystko trzeba powiedzieć.

Obaj milczeli przez chwilę. Hrabia Olek wyprostował się, na twarz wystąpiły mu rumieńce, nerwowo bębnił palcami po kontuarze.

— Skoro panu hrabiemu tak bardzo potrzebne... no, to dobrze — zamruczał wreszcie gospodarz, ale teraz, to już poczekamy dopóki się nie wyrówna.

— Ma się rozumieć, ma się rozumieć — przerwał niecierpliwie.

— Nie dlatego, żebym się obawiał, tylko... słowo honoru, nie mogę.

Hrabia Olek niedbałym ruchem wsunął banknot do bocznej kieszeni od kamizelki, wydał policzki, szukając w myśli frazesu, który wypadało mu jeszcze powiedzieć.

— Tak — mruknął.

I uśmiechając się sztucznie dorzucił:

— Zobacz pan, że dziś jeszcze pójdzie parę butelek.

— Ależ ja wiem, że tak jak pan hrabia nikt nie potrafi zaaranżować zabawy.

Odwrócił się i wyszedł na korytarz. Był wściekły. Bydlę — mruknął przez zaciśnięte zęby. Świerzbiała go ręka, kiedy tam stał przed kontuarem, żeby chwycić jaką butelkę i rozbić ją o tę głupią, płaską gębę. Czuł, że zaczyna być źle, skoro taki gospodarz śmiał się z nim targować. Ale był bezsilny. Gdyby tamten

słówko szepnął o procentach, jakie mu od kolacy wypłaca, hrabia Olek byłby zgubiony.

Dotychczas nikt nic mu nie mógł zarzucić. Łatwiej tylko, bez porównania łatwiej zawierał znajomości. Ale wśród piekielnie powikłanych sytuacji swego życia umiał lawirować tak zręcznie, że wciąż się jeszcze utrzymywał na poziomie dobrej opinii. Potrafił, pożyczwszy kilkaset rubli, oddać kilkadziesiąt z takim gestem, że to się utrzymywało w pamięci wszystkich.

Rozmowa z gospodarzem zdenerwowała go. Nie miał chęci wracać do gabinetu. Zatrzymał się przed lustrem i zaczął przewiązywać krawatę. Zły był, że obiecał w bufecie jeszcze kilka butelek szampana. Chciał słowa dotrzymać, bo mu zależało na dobrych stosunkach z właścicielem restauracji, a czuł, że to będzie trudno. Zabawa się dziś nie kleiła, przeciągała ją sztucznie.

— Stern jeszcze postawi...

Do innych nie wypadało mu się przymawiać.

Gdy wszedł do gabinetu, Stern stał z Władką na uboczu i po cichu o czymś rozmawiali. Władka powoli naciągnęła już rękawiczki.

— Nie, kochanie, pomyślał, uśmiechając się złośliwie. Nie wymkniesz mi się...

I podszedł do nich.

Stern spojrzał na niego z niechęcią. Od kilku chwil wymyślał sobie w głębi duszy od szaleńców i głupców. Zrozumiał nagle, że to wszystko co mu się zdawało, było tylko urojonem przywidzeniem, atakiem paranoi. Ostatecznie śmiesznym było z jego strony wymagać, aby Władka zachowywała się jak sentymentalna i rozkochana panna z towarzystwa.

Gdy ujrzał przed sobą hrabiego Olka, znów uczuł dręczący nieokreślony niepokój.

— Cóż to, chcesz już uciekać? — odezwał się hrabia Olek do Władki.

— Nudni dziś jesteście.

— Bo nikt nic nie pije.

— Dość na dzisiaj — mruknął Stern.

Hrabia Olek przysunął się do nich tak, że stanął pomiędzy nim a Władką. Wiedział, że jest na Sterna niezawodny sposób: obudzić w nim zazdrość. Naiwny i marzycielski Stern komedią, którą z takim przejściem wciąż odgrywał, potrafił oszukać siebie samego tylko. Hrabia Olek znał doskonale jego uczucia i wiedział, jak je wyzyskiwać. Ujął Władkę pod rękę i pociągnął ją do stołu.

— Chodź Władziu, napijemy się kawy. Nie będzie pan zazdrosny? — zwrócił się do Sterna.

Stern wykrzywił pogardliwie usta.

— Nie...

Wyprostował się i drżącymi trochę palcami zapiął marynarkę. Postanowił w tej chwili jechać do domu, a z Władką raz na zawsze zerwać. Wydało mu się to tak prostem, że doznał przelotnego wielkiego wrażenia ulgi. Z wesołym uśmiechem zbliżył się do stołu.

Władka siedziała pomiędzy dwoma mężczyznami. Gdy Stern podszedł, hrabia Olek, objął ją za szyję, przycisnął ku sobie i głośno pocałował w usta. Stern drgnął, tchu mu zabrakło w piersiach, sam nie wiedział, co się z nim stało — w gabinecie momentalnie zapanowała przykra cisza.

Trwało to mgnienie oka. Hrabia Olek nigdy nie tracił przytomności i umiał orjentować się błyskawicznie.

— Stern jest prawdziwy europejczyk... Wypijmy na „ty“ — krzyknął, wyciągając ku niemu rękę z kieliszkiem.

Stern poczerwieniał. Pośpiesznie nadstawił swój kieliszek.

— Wina już niema — mruknął oszołomiony tym niespodziewanym dowodem przyjaźni.

I odwrócił się do dzwonka.

— Sprowadźcie Włochów — zapiszczała Władka.

Służący, schylając się jak automat, rozlewał wino w kieliszki. Wszyscy, podnieceni na nowo po chwilowym wyczerpaniu nerwów, zaczęli naraz głośno mówić. Stern, któremu znów udało się zasugestyonować myślą, że prawdziwy viveur nie powinien być zazdrosny, zwrócił się do hrabiego Olka.

— Cóżżeś ty tak osowiał?

Rzeczywiście hrabia Olek, najweselszy człowiek w towarzystwie, stracił nagle humor. Siedział zamyślony i posepny.

— Zmęczony jestem, niech pan na mnie nie zwraca uwagi.

— Jako „pan“?

— Prawda, przepraszam — nie zwracaj na mnie uwagi — poprawił się powoli, dobitnie wymawiając wyrazy. Pochylił głowę i obracając kieliszek w palcach drobnymi łykami pił wino. Pałący wstyd żarł mu duszę. Przeciągnął strunę. Nie mógł się narażać na zajście ze Sternem, bo był mu winien zbyt dużo pieniędzy. Parszywiec — myślał nerwowo gryząc usta — i taki jeszcze będzie zazdrosny.

Stern usiadł przy nim.

— Głowa cię boli? — dopytywał się troskliwie.

Nic mu nie odpowiedział.

— Olku... — bełkotał Stern.

Hrabia Olek zerwał się nagle z krzesła i wybiegł z gabinetu. Dość miał tej zabawy i towarzystwa Sterna. Postanowił, nie żegnając się z nikim, wracać do domu. Jakknajprędzej położyć się do łóżka i zasnąć, żeby sen zatarł bolesne uczucie niesmaku, jakim napełniło mu duszę to nowe poniżenie. Będzie teraz ze Sternem na „ty“... Stern będzie mu mówił: Olku... I to stało się przy wszystkich i widzieli, że nie był zupełnie pijany... Pochwycił parę ironicznych spojrzeń...

Ale trudno... Jeszcze chwila, ćwierć sekundy i pijany Stern byłby się rzucił na niego... Musiał sparować uderzenie. I zamiast dać żydziakowi w pysk...

Na dworze świt już wstawał. Kilkunastoletni obdarty wyrostek zabiegł mu drogę przed werandą restauracji.

— Dorożka dla jaśnie pana hrabiego?

Hrabia Olek syknął przez zęby ordynarne przekleństwo — i z całej siły uderzył chłopca w twarz.

## TESKNOTY...

— Co pan dobrodziej powie o takiej sytuacji psychologicznej: kobieta czterdziestoletnia, namiętna, arystokratka, wychowana w przepychu, porzuca męża i rodzinę, aby żyć z człowiekiem, który jej nie był nawet formalnie przedstawiony?

Nic nie mogłem odpowiedzieć, ponieważ w tej samej chwili pan Adolf trzymał mię dwoma palcami delikatnie za nos i brzytwą manewrował po górnej wardze. Pytanie było zresztą tylko wykwintnym zwrotem stylowym, po którym nastąpiła krótka pauza, widocznie abym miał czas wniknąć w niezwykłość sytuacji, po czym pan Adolf ciągnął dalej:

— Według mnie jest to najzupełniej możliwe, najzupełniej... Kobieta, gdy ją opanuje namiętność, nie zważa na przesady towarzyskie. Ach! — krzyknął przestraszony i zaraz pochylając się ku mnie, dorzucił z westchnieniem głębokiej ulgi:

— Nie, nie, nie, nawet wcale krwi niema... Pan dobrodziej ma dziwnie delikatną skórę... Kobieta... Czy i włosy przyczesać?

— Owszem...

— Kobieta jest zagadką psychologiczną...

Pan Eustachy, który milcząc przysłuchiwał się naszej rozmowie, parsknął krótkim, przyciszonym śmiechem.

Pan Adolf powtórzył dobitnie.

— Kobieta jest zagadką psychologiczną.

I zwracając się do towarzysza, dodał pogardliwym tonem:

— Pańska ironia jest nie na miejscu.

— Wypraszam sobie nauki moralne — odezwał się cierpko pan Eustachy.

— A po co się pan wtrąca do tego, co mówię?

— Wolno mi się śmiać...

— Zna pan przysłowie... po czem poznać...

— Po tem, co bez sensu plecie.

Dyalog zaczynał się stawać drażliwy. Przerwałem sentencyjonalnie:

— Każdy człowiek ma swoje przekonania.

— Święta racya — potwierdził pan Adolf z głębokim uznaniem w głosie.

Pan Adolf i pan Eustachy darzyli mnie swoim zaufaniem, wskutek czego nieraz bywałem świadkiem dość ostrych utarczek słownych, oczywiście, o ile oprócz mnie nie było na razie innych gości, ani właściciela zakładu. Zdarzało się to dość często, ponieważ zakład ów wogóle nie posiadał licznej klienteli, sam właściciel zaś poważny mężczyzna z długą czarną brodą rzadko się ukazywał w sklepie. Przeważnie spędzał czas w domu, pracując podobno nad jakimś bardzo doniosłym wynalazkiem. Pod względem zapatrywań na ten wynalazek obaj jego pomocnicy różnili się zasadniczo. Pan Adolf, który był skłonny do entuzjazmu, wierzył „iż z tego coś będzie“, sceptyczny pan Eustachy natomiast nazywał swego chlebobawcę maniakiem i przepowiadał, że go „w krótkim czasie dyabli wezmą“.

Tak samo zresztą różnili się we wszystkich zapatrywaniach.

Pan Adolf, wysoki, szczupły brunet o wypukłych oczach, które miał zwyczaj mrużyć zlekka, prawdopo-



dobnie, aby bardziej wyaksamitnić powłóczyństwo spoj-  
rzenia, był, jak mi to sam wyznał, artystą w duszy. Skłonności artystyczne były u niego zresztą rodzinne, jeden z kuzynów studyował malarstwo w Paryżu, a sio-  
stra wygrywała z pamięci na fortepianie najtrudniejsze „kawałki“, zarówno wesołe do tańca, jak i poważne do  
słuchania. Na tę dwustronność jej uzdolnienia p. Adolf  
kładał zawsze szczególny nacisk, jako na objaw do pe-  
wnego stopnia fenomenalny. Pozatem z dość częstych  
choć dorywczych rozmów naszych dowiedziałem się,  
że pochodził on ze starej i znakomitej rodziny, która  
zajmowała w Rzeczypospolitej wysokie dostojeństwa  
i urzędy. Powtarzał nieraz z melancholijnem wes-  
tchnieniem:

— Zeszedł człowiek na psy, ale gdyby tak dobrze  
w koligacjach poszukać.

Okoliczności nie pozwoliły mu nigdy podjąć tego  
wdzięcznego zadania.

Zwykle, gdym wchodził, obaj panowie witali mię  
„mojem uszanowaniem“. Ale każdy z nich inaczej wy-  
mawiał te dwa wyrazy: pan Adolf przeciągle i z cza-  
rującym uśmiechem, pan Eustachy krótko jak komendę.  
W chwilę potem w białej powłóczystej szacie zasiada-  
łem na fotelu przed lustrem i pan Adolf, ostrząc  
brzytwę na pasku, którą to czynność wykonywał z nie-  
słychaną wprawą i pośpiechem rozpoczynał rozmowę,  
najczęściej od spostrzeżeń, które świadczyły o jego  
przenikliwej intuicji meteorologicznej.

— Czy pan dobrodziej nie uważa, jakie to już mamy  
dni dłuższe.

— Aha, rzeczywiście.

— Pan dobrodziej czytał dzisiejsze pisma...

I przeważnie w dalszym ciągu już sam prowadził

dIALOG, ponieważ, mając twarz zasmarowaną mydłem, byłem pozbawiony możliwości odpowiadania.

— ...W odcinku wychodzi znakomita powieść... szkoda tylko, że tak mało dają... znakomita, czyta się z zapartym tchem... Ach ci francuscy pisarze, jak oni znają serce kobiety... Występuje tam właśnie jedna księżna... Czy brzytwa nie drapie?... Jedna księżna, greczynka z pochodzenia, niesłychanie subtelna, która znudzona banalnością swojej sfery, och bo arystokracja na całym świecie jest banalna, szuka miłości wśród ludzi pracujących... Niech pan dobrodziej swobodnie oprze głowę... To ją odradza. Wyjeżdżają razem do Indyi i on ze skromnego handlowca zostaje odrazu jaśnie panem. Jak pan dobrodziej sądzi, wszak sytuacja taka możliwa jest i u nas?

— Zapewne.

— Tak... tak... Dusza kobiety to jest tablica pełna zagadek... Pan dobrodziej powinien sobie naftą nacierać włosy, a jeszcze lepiej naftą z olejem rycynowym...

Czasami, gdy pan Adolf był zajęty i golił mię pan Eustachy, rozmowa przybierała zgoła inny obrót.

Pan Eustachy był wrogiem kobiet, a właściwie i nie wrogiem nawet, tylko bezgranicznie je lekcewał. Uważał, że kobieta jest istotą znacznie niższą od mężczyzny, powoływał się zawsze przytem na autorytet znakomitego zagranicznego pisarza, którego nazwisko w potrzebnej chwili stale ulatywało mu jednak z pamięci. Ale, mając zaufanie do mojej encyklopedycznej wiedzy zastępował je porozumiewawczem spojrzeniem:

— No, ten, ten... Szanowny pan wie przecież...

Poczem dodawał z lekceważącym wzruszeniem ramion:

— Zresztą kobiety mają mózg znacznie lżejszy, niż mężczyźni.

Pan Adolf przerywał mu był zwykle wówczas.

— To wcale nie jest naukowo stwierdzone.

— Któż to panu powiedział, że nie?

— Ważył pan?

— Ja nie ważyłem, ale ważyli inni... Pocóż by trupów krajali po prosektoryach... Tak sobie, żeby noże tępić?..

W tych zawiłych kwestyach naukowych musiałem odgrywać rolę arbitra. Starłem się zawsze być poje-  
nawczym.

— Zresztą — rozstrzygał wątpliwości pan Adolf —  
kobieta ma mózg w sercu. Serce to grunt i nie zawra-  
caj mi pan głowy.

— Znalazł się filozof.

— Pewno, bo ja biorę z życia to, co jest piękne...  
Człowiek na to jest stworzony, żeby kochał.

— Gadasz pan, jakbyś pan miał szesnaście lat...

Wzrastającemu zacierzwieniu zwykle szczęśliwie  
kładał kres przypadek. Pan Eustachy w zapale dysku-  
syi zacinał mię brzytwą.

Raz na taką scenę wszedł sam właściciel zakładu.  
Zawrzało.

— Cóż to, klient jest prosię, że go pan dźgasz  
brzytwą pod gardło — zahuczał nad zawstydzonym  
i czerwonym, jak rak, panem Eustachym... Najmocniej  
szanownego pana przepraszam — zwrócił się do mnie,  
sapiąc z gniewu.

Zapewniłem go, że sam nieopatrzny ruchem  
głowy spowodowałem skaleczenie. Namiętnością pana  
Adolfa była miłość, pana Eustachego loterya. Żył na-  
dzieją wygrania wielkiego losu i był święcie przeko-  
nany, że go zdobędzie. Wszystkie kieszenie miał wy-

pchane biletami na loterye serbskie, bułgarskie, tureckie tytoniowe, węgierskie i wiecznie studyował tabelę wygranych.

To że stale przegrywał, nie zniechęcało go. Bo, jak mi tłumaczył, z każdym dniem a nawet z każdą chwilą szanse jego tak się zwiększały, że już już lada moment fortuna musiała się uśmiechnąć.

— Bo, proszę szanownego pana, przecież w wyższej matematyce jest nawet taka nauka: rachunek prawdopodobieństwa, więc to można algebraicznie wyliczyć, a zresztą bardzo łatwo porachować. Przecież rocznie milion ludzi na loteryach wygrywa, nie liczę stawek, tylko większe wygrane.

— Milion ludzi — powątpiewał pan Adolf.

— Cóż pan myśli, w Europie i w Ameryce, najmniej milion, jeśli nie więcej.

— A ponieważ — zwracał się do mnie, rok ma 525,600 minut, więc dwa razy na minutę ktoś wygrywa.

— Przecież w nocy niema ciągnięcia — wtrącał się ze sceptycznym uśmiechem pan Adolf.

— O, wiedział co powiedziało... Jak u nas jest noc, to na drugiej półkuli dzień.

— Dużo panu z tego przyjdzie, że w Ameryce ktoś wygra.

— Nie wtrącał byś się pan, jak pan najprostszego rachunku nie możesz zrozumieć. Dwa razy na minutę ktoś wygrywa... I otóż w rachunku prawdopodobieństwa jest matematycznie wyliczone, że na każdego z tych, co grają, kolej przyjść musi.

— I coż pan z tymi pieniędzmi zrobi?

— Z panem się nie podzielę to pewno.

— Przerznie pan w totalizatora.

— Także byłbym głupi grać w totalizatora w War-

szawie... Pojadę do Monte Carlo, z panami będę grał w klubach.

— Czekają tam na pana.

— Najlepszy herb to rubel.

— Jak kto nie jest w tradycjach wychowany...

— W tradycjach...

— Człowiek bez rasy i bez tradycji, choćby mu dać nie wiem jaki majątek...

Temi niedomówieniami kończyła się zwykle rozmowa. Pan Adolf dawał mi nieznacznie oczami do zrozumienia, że z towarzyszem jego wogóle w dyskusje wdawać się nie warto. Pan Eustachy wyczekiwał chwili, w której pan Adolf odwracał się od nas i wówczas przykładając palce do czoła, zakreślał nim małe kółko. Jednakże, mimo te różnice w poglądach obaj, o ile mogłem zauważyć, bardzo się lubili wzajemnie.

Stosunki nasze przyjazne trwały już dość dawno. Pewnego dnia pan Adolf zauważył z przyjemnem zdziwieniem.

— Pan dobrodzieju już u nas ósmy abonament kończy.

— Czas leci.

— Leci... leci... — powtórzył wzdychając melancholijnie.

Po chwili dodał z goryczą w głosie:

— Jednak na całym świecie niema chyba tak marniej arystokracji jak nasza.

— No, czemu?

— Strupieszają panie, ludzie bez temperamentu, bez nerwów. Mało to za granicą jest takich wypadków, że kobiety z najdostojniejszych rodzin porzucają swoją sferę, żeby szukać miłości wśród ludzi pracy. A przecież tam arystokracja starsza jest od naszej... wszystko się od wojny krzyżowej wywodzi. I przez to się odradzają.

A u nas co? Czy pan dobrodziej nie zgodzi się ze mną, że tego rodzaju sytuacje psychologiczne są u nas znacznie trudniejsze.

— Zapewne.

Pan Adolf milczał przez chwilę, próbując ostrza brzytwy na paznokciu.

— No ostatecznie i u nas możliwe — dorzucił twardym głosem.

Raz, kiedyś wszedł, jak zwykle, ogolić się, pana Adolfa nie było w sklepie.

Towarzysz jego rzucił się ku mnie blady i zmieszany.

— Wie pan, co się stało?

— Co takiego?

— Pan Adolf życie sobie odebrał.

— Nie może być...

— Poderżnął się tą samą brzytwą, którą golił szanownego pana. Widziałem go... taki straszny... Brr... aż mi się słabo robi, jak sobie przypominę.

— Ale z jakiego powodu?

— Czy ja wiem... Ot strześliło mu coś do głowy... Bo to, świeć Panie nad jego duszą, ale szanowny pan mógł sam przecież zauważyć, że mu brakło piątej kłepki. Źle, że o nim tak mówię, bo on już na sądzie Boskim, przerwał z zabobonną trwogą, ale...

Wzruszył ramionami, jakby usprawiedliwiając się przed kimś niewidzialnym, kto nas mógł podsłuchiwać.

— I kiedyż to się stało? — spytałem, oszołomiony tak niespodziewanym i tragicznym końcem biednego pana Adolfa,

— Dziś rano... List do mnie napisał.

Podał mi arkusik uperfumowanego, niebieskiego papieru na którym koszlawemi literami było napisane kilkanaście słów:

-- „Panie Eustachy! Wszystko w życiu mnie zawiodło i postanowiłem odebrać sobie życie. Znalazłem się w sytuacji psychologicznej, w jakiej człowiek z godnością może tylko samobójstwem skończyć. W szafie jest letni, marynarkowy garnitur, niech pan go sprzeda, to się wyrówna tych parę rubli, com panu winien. I niech pan nie ma do mnie żalu, jeżeli pana czem dotknąłem. Umieram z pogardą dla ludzkości.“

Oddałem panu Eustachemu list, który on złożył starannie i schował do pugilaresu.

— To wszystko przez kobiety — dodał tajemniczo.

— Jakto?

— Oczywiście, nieboszczyk wciąż sobie głowę miłością zawracał i dlatego tak smutno skończył. Bo co to szanowny panie całymi dniami o kobietach myśleć... Rozumiem przyjść, swoje zrobić i koniec... Ale jak kto chce tak odrazu wszystko psychologicznie, to potem albo weksel sfałszuje, albo i jeszcze gorzej skończy samobójstwem, ot jak nasz Adolf...

Umilkł.

— Szanowny pan będzie się dziś golił — odezwał się po chwili.

— A no... trzeba...

— Pojutrze pogrzeb... Stary pewno budę zamknie... wypada, prawda... — ciągnął szybko rozrabiając mydło. — A wie pan co — odezwał się nagle i umilkł jakby wahając się dokończyć myśli... Ale potem dodał półgłosem:

— Dziś ciągnięcie. I zdaje mi się, że napewno wygram. Bo to w życiu tak zawsze, jak jednego nieszczęście spotka, to drugiemu właśnie wszystko się dobrze układa. Prawda?

## FLUID.

Pan Krzaczkowski tak był rozgorączkowany, że już nie mógł usiedzieć na miejscu. Wstał, oparł się rękami o marmurową powierzchnię stolika i powtarzał podniesionym głosem:

— Trzeba przedewszystkiem zrozumieć, przede-wszystkiem trzeba zrozumieć...

Jego podniecenie zaczynało już zwracać uwagę innych gości w kawiarni. Wolski przerwał mu obojętnie:

— Siadaj pan i nie krzycz, bo się ludzie na nas oglądają.

Krzaczkowski rozejrzał się szybko po sali i zawstydzony nieco umilkł. Po chwili dodał tonem usprawiedliwienia i wyrzutu.

— Pan mnie zawsze musi do pasy doprowadzić. Wolski wzruszył nieznacznie ramionami.

— Cóż ja jestem temu winien? Ja nie wierzę.

— A próbował się pan kiedy przekonać?

— Nie, bo ja i tak nie wierzę.

— Otóż właśnie.

Przez chwilę milczeli obaj. Krzaczkowski wyciągnął chustkę z kieszeni i otarł pot z czoła. W kawiarni było duszno i gorąco. Najbardziej go jednak rozgrzała ta ożywiona dyskusja, którą od godziny nieomal prowadził z Wolskim.



Wolski, jego kolega biurowy, znacznie jednak od niego młodszy, mógł najbardziej zrównoważonego człowieka zniecierpliwic. Gdy Krzaczkowski mówił, słuchał go z uwagą, z przejściem raz po raz potakując lekkimi skinieniami głowy. Zdawało się, że się najzupełniej na każde słowo zgadza. I naraz z nieokreślonym uśmiechem, który nie był ani ironiczny, ani wesoły, ani smutny, odzywał się przyciszonym głosem:

— Zawracanie głowy.

Krzaczkowskiego za każdym razem aż podrzucało na krześle i siłą woli musiał się powstrzymywać, żeby mu nie powiedzieć impertynencji. Gdyby jeszcze Wolski był głupcem, z którym nie warto było rozmawiać... Ale nie... Krzaczkowski uważał swego kolegę za bardzo inteligentnego człowieka.

Odpocząwszy chwilę, uspokoiwszy się, zaczął na nowo.

— Najznakomitsi uczeni europejscy zajmowali się spirytyzmem i fakt, że wszyscy możemy się komunikować ze światem niewidzialnych istot, jest tak samo naukowo stwierdzony, jak to, że ziemia obraca się dookoła słońca. I tylko ludzie o ciasnych głowach — nie czynię tu najmniejszej aluzji do pana — poprawił się szybko, ale wogóle tylko ludzie o ciasnych głowach mogą temu zaprzeczyć.

Krzaczkowski od paru miesięcy zajmował się spirytyzmem. Codziennie prawie urządzał w domu seanse z żoną i z kuzynką żony, starą panną, która miała wybitną siłę medyumiczną. Żona nie podzielała jego absolutnej wiary w prawdziwość zjawisk spirytystycznych, ale musiała udawać zapał, gdyż w rodzinie pan Krzaczkowski opozycji nie znosił. Seanse pochłaniały go tak całkowicie, że powoli począł stronić od ludzi,

przekładając nad towarzystwo kolegów biurowych i znajomych stokroć coprawda miłsze obcowanie z duchami poetów, mędrców, filozofów i znakomitych wodzów przeszłości, którzy go chętnie odwiedzali. Najczęstszymi gośćmi pana Krzaczkowskiego bywali: Napoleon, Fryderyk Wielki, pani Récamier i Mozart, i stosunki z nimi układały się coraz serdeczniej, już nieomal nawet poufałe. Zrozumiałem było, że pan Krzaczkowski stał się bardziej wybrednym w wyborze znajomości wśród ludzi.

— Gdyby pan chciał choć parę najpopularniejszych broszur przeczytać — ciągnął błagalnym prawie głosem — zmieniłby pan zdanie. Przecież to, co mówię, jest logiczne?

Wolski skinął potakująco głową.

— I spirytyzm...

Ale Wolski nie dał mu dokończyć zdania. Uśmiechnął się swoim nieokreślonym uśmiechem i szepnął zniżając głos.

— Zawracanie głowy.

Krzaczkowski pobladł i umilkł.

Wolski widział jego zdenerwowanie, ale dokuczał mu naumyślnie, ulegając jakiejś dziwnej potrzebie drażnienia, która go opanowała. W ten sposób wyładowywało mu się z duszy jego własne zdenerwowanie. Od dwóch dni był osamotniony. Pewna chórzystka, z którą utrzymywał stosunki miłosne, uciekła nagle z Warszawy, porzucając go dla zamożniejszego kochanka.

Spojrząwszy na Krzaczkowskiego uczuł jednak, że zbyt daleko posunął swe lekceważenie. Aby niemiłe wrażenie załagodzić, odezwał się po chwili pojednawczym tonem:

— Nie mogę wierzyć, ponieważ nigdy się tem nie zajmowałem.

— Więc niema pan prawa nie wierzyć.

— Ale nie wyobrażam sobie żeby to było możliwe.

— Niech się pan raz przekona.

— Jak?

— Co pan porabia dziś wieczorem? — odezwał się nagle żywo Krzaczkowski.

— Nic.

— Niech pan idzie do mnie, urządzimy seans.

— Dobrze.

Wolski bez wahania przyjął zaproszenie, rad był nawet, że uda mu się wieczór czemś zapełnić, gdyż od dwóch dni osamotniony, nudził się tak straszliwie, że mu najdziwsze myśli przychodziły do głowy.

— Przekona się pan.

— Gdy się przekonam, to uwierzę.

Zapewnienie to udobruchało nieco Krzaczkowskiego. W głębi duszy żałował trochę, że tak pośpiesznie zaprosił Wolskiego. Seanse z zasady odbywały się w najściślejszem kole wyznawców, ludzi obcych Krzaczkowski dopuszczał niechętnie i to tylko wówczas, gdy był absolutnie przekonany o ich głębokiej wierze w prawdziwość zjawisk.

Ale stało się. Zaproszenia odwoływać nie mógł. Wolski tak go zdenerwował swoim uporczywym, bezmyślnem powtarzaniem jednych i tych samych słów, że stracił w końcu panowanie nad sobą.

— Upredzam pana, że seans może się nie udać. Będzie pan pierwszy raz, a co ważniejsza brak panu odpowiedniej wiary. To bardzo źle oddziaływa.

— Spróbujemy.

— Niepowodzenie więc, o ile by się nie powiodło,

nie może stanowić najmniejszego dowodu przeciw prawdziwości zjawisk. Niech pan to sobie zapamięta.

Było już późno. Wyszli.

— No, no, no... jaką on ma śliczną kobietę, myślał z podziwem Wolski, gdy go Krzaczkowski przedstawił w domu żonie. Nigdy bym się nie spodziewał.

Pani Krzaczkowska była wesoła, ożywiona, rozmowna i odrazu od pierwszego wejrzenia zyskała sympatyę Wolskiego.

Dobrze go również do niej usposobiło to, że miała jasne włosy ze złotawem odcieniem. Chórzystka, która go zdradziecko porzuciła, była czarna jak smoła.

Zdrada napełniła Wolskiego odrazą do wszystkich kobiet o czarnych włosach.

— Pan nigdy jeszcze nie uczestniczył w seansie spirytystycznym.

— Nigdy.

— Czekają pana podniosłe wrażenia.

Ale odrazu zmieniała temat. Po paru minutach rozmawiali tak wesoło i swobodnie, jak gdyby się już znali Bóg wie odkąd.

Wolski był zachwycony. A to małpa — myślał, spoglądając na koleżę — ktoby był przypuścił, że ma taką rozkoszną żonę.

Z chęcią byłby z nią przez cały wieczór rozmawiał. Zaraz po kolacyi jednak Krzaczuowski przypomniał o seansie.

— Zacznie się piła, przeklął go w duchu kolega. Nie mógłby się sam lepiej ze stolikiem po pokoju kręcić.

Przeszli do sąsiedniego pokoju i zasiedli we czworo przy niewielkim okrągłym stoliczku.

Teraz proszę o powagę — odezwał się uroczyście

Krzaczkowski i zgasił lampę. Okna były osłonięte roletami i w pokoju zapanowała nieprzenikniona ciemność.

— Nie wiem czy się uda — odezwał się jeszcze po chwili zafrasowanym tonem Kaczkowski. Najodpowiedniejsze są suche księżycowe noce.

— Uda się, uda...

— Wolski rozłożył palce tak szeroko, że po chwili uczuł, że go kurcz chwytać poczyna. Ale sprawiało mu wzamian przyjemność, że siedział tuż tuż przy pani Krzaczkowskiej i mógł dotykać końcem palca jej palce.

Po dziesięciu minutach zaczęło go to jednak nużyć. Chrząknął.

— Tss — zgromił go Krzaczkowski.

I stolik stał jakby przymurowany do podłogi.

Upłynęło drugie dziesięć minut.

— Czuje pan? — odezwał się przyciszonym, uroczystym głosem gospodarz domu.

— Czuję — odparł zdziwiony.

Rzeczywiście uczuł w tej samej chwili na twarzy jakby lekkie muśnięcie ciepłej kobiecej dłoni. Palcem napróżno szukał palca pani Krzaczkowskiej.

— Zaraz zacznie się ruszać — szepnął Krzaczkowski.

Ale stolik ani drgnął.

Wolski nie zdziwił się zresztą.

Krzaczkowskiego jednak niepokoiło to już trochę. Do pewnego stopnia czuł się wobec kolegi odpowiedzialnym za niepowodzenie.

— Niech pan trochę głębiej posunie rękę — odezwał się półgłosem.

— Aha...

- I mocniej przyciśnię...
- Ale nie za mocno, zaprotestowała słabym głosem Krzaczkowska.
- Ja tak, jak mąż pani każe.
- Bo to najważniejsze. żeby ani zbyt słabo, ani zbyt mocno...
- Krzaczkowski czuł, że seans przerywany wskazówkami, jak należy postępować, nie może się udać. Jemu samemu wreszcie ręce omdlały. Zniechęcony westchnął.
- Dziś się nie uda... Dajmy spokój...
- Nie, nie, nie... może się jeszcze uda — przerwał mu żywo Wolski. Posiedźmy jeszcze.
- Bynajmniej.
- Odпочniemy chwilę, bo mnie samemu ręka ścierpła.
- Zapalimy światło?
- Po co? Przez to się tylko prąd fluidyczny rozrywa. Zaraz zaczniemy na nowo. Ale widzę, że to pana przejęło. Emocyjonuje, prawda?
- Tak...
- Zobaczysz pan, że z pana będzie jeszcze zapalony spirytysta.
- To możliwe, to bardzo możliwe.
- Trzeba tylko trochę dobrej woli...
- Gdyby kolega pozwolił, tobym nawet stale uczestniczył w seansach.
- Ależ z miłą chęcią.
- Bo mnie to naprawdę pociąga.
- Och... dziś... to nic jeszcze. Dopiero na następnych seansach przekona się pan, jakie to daje wrażenie.
- Przestańmy, bo ja zmęczona jestem — odezwała się Krzaczkowska.
- Szkoda...

— No, patrzcie państwo, on by całą noc przesiedział.

— Ale skoro pani zmęczona.

— To wyjątkowo dziś...

— Trzeba lampę zapalić... kto ma zapałki?

— Służę.

— I panią oczy bolą? Ja teraz wcale patrzeć nie mogę.

— A wie kolega, która godzina?

— Późno?

— Kwadrans na dwunastą... Można się zasiedzieć, co?

— Przekonał mię pan.

— No, dziś się właściwie nie udało.

— Ale w tem coś jest, to muszę powiedzieć: w tem coś jest.

— To się czuje, prawda?

— Jeśli państwo tylko pozwolą zapisać mi się do swego grona.

— Ależ prosimy bardzo.

— Muszę uciekać jednak.

— Więc dalszy ciąg jutro. Ma pan wieczór wolny?

— Najzupełniej.

— Widzi kolega, jak to dobrze rozgadać się czapami. Zdaje mi się, że będę miał w was dzielnego pomocnika.

— O możecie liczyć.

— Prawda Helu, że dobrze się stało, że ściągnąłem pana Wolskiego.

— Świetnie.

— Może jeszcze szklanę herbaty. Już do dwunastej niech kolega posiedzi. I tak zdążycie się wyspać do jutra.

Krzaczkowski był rozentuzymowany. Gdy podano w salonie herbatę, odezwał się do kolegi, ściskając go za rękę:

— A wie pan, ja wiedziałem, że pana uda mi się przekonać. Mimo, żeśmy się tak zawzięcie kłócili. Mnie dziś pozory już nie mylą. Umiem czytać w duszach ludzkich. Wystarczy mi spojrzeć na człowieka i znam nieomal, że najtajniejsze jego myśli. To każdy myślący człowiek może w sobie wyrobić. I jakem pana w biurze pierwszy raz zobaczył, zaraz pomyślałem — z niego będę miał pociechę.



## WRÓŻBA.

O d tygodnia Koszycki siedział w małej mieścinie na południu Francji i już nie chciało mu się jechać dalej, mimo, iż do połowy nie wyczerpał był jeszcze marszruty, którą mu zakreślał jego bilet okrężny Coocka. Ale włóczęga zmęczyła go wcześniej, niż przypuszczał. Jechałby i zwiedzał chętnie dalej, gdyby był mógł jakimś cudownym sposobem zasypiać w jednej miejscowości i budzić się w innej. Gdy jednak pomyślał, że znów trzeba będzie pakować rzeczy, trząść się w dusznym i ciasnym przedziale wagonu i znów zajeżdżać do jakiegoś nowego hotelu — brakło mu odwagi. I postanowił już do końca urlopu nie ruszać się z miejsca.

Miasteczko, w którym utknął, nie było samo przez się ani wesołe, ani ciekawe. Ale urokiem niewypowiedzianym okrywała je wiosna. Drzewa kwitły i z poza murów w wązkich uliczkach zwieszały się gałęzie okryte białem i różowem kwieciem. Koszycki mieszkał w hotelu przy dużym placu, wysadzonym wzdłuż chodników platanami. Był jedynym lokatorem, ale mimo to w południe dzwoniono na śniadanie, jakgdyby zwoływano Bóg wie ilu gości i stół w długiej sali jadalnej stale był nakryty na dziesięć osób. Usługiwała mu córka samego gospodarza, wysmukła czarna dziewczyna, żywa jak iskra i brzydka jak grzech śmiertelny. Witła

go codziennie sakramentalnem „Il fait beau aujourd'hui n' est ce pas“ i kręcąc się po pokoju wtajemniczała go we wszystkie miejscowe plotki. Słuchał jej głosu, jak brzęczenia muchy, bo mówiła szybko, niewyraźnie i połowy nie rozumiał najczęściej.

Po śniadaniu kupował pisma i zasiadał po drugiej stronie placu na werandzie kawiarni pod wezwaniem „Przyjaciół wolności“. Tam wygrzewał się na słońcu, mrużąc oczy przed oślepiającym blaskiem. Przychodziło mu zawsze na myśl „gdy platany rozkwitną, to tu porządny cień będzie“. O tej porze były dopiero okryte pierwszymi pączkami i fantastyczne ich konary, podobne do rąk z konwulsyjnie powyginanymi palcami, budziły w nim zawsze wizje jakichś olbrzymich szkieletów, które rozpaczliwymi wysiłkami wydobywały się z wnętrza ziemi na słońce.

Odbywszy popołudniową siestę wędrował za miasto, włóczył się po krętych drogach, usianych puchem okwitłego kwiecica i rozdeptanymi chrabąszczami. Na drogach pusto bywało zwykle, czasami przelatywały automobile, podrywając tumany białego kurzu. Raz po raz przydrożny mur urywał się nagle i widać było faliste płaszczyzny pól, które w słońcu błyszcząły, jak powierzchnia wody. Przed zmierzchem powracał do miasteczka, zasiadał w swej kawiarni i patrzył jak cień posuwa się powoli od jednej strony placu ku drugiej. Potem jadł obiad w tej samej pustej sali, a nazajutrz budziło go ze snu gwałtowne świergotanie wróbli i znów zaczynało się to samo.

Tak żył od tygodnia i było mu niewypowiedzianie dobrze. Miał wrażenie zupełnej samotności. Świat zaczynał się dopiero gdzieś tam za górami, które śnieżnym pasmem okalały horyzont, a tu w dolinie życie

się snuło, jak łagodny cień i każdy dzień zamykał się jednym i tem samym wspomnieniem słonecznej pustki, przesyconej zapachem kwitnących jabłoni.

Pewnego dnia, była to właśnie niedziela, Koszycki spał jeszcze w najlepsze, gdy nagle zbudziło go silne stukanie do drzwi.

— Kto tam? — krzyknął zdumiony.

— Facteur — odparł wesoły, donośny głos z sieni.

List rekomendowany z Warszawy. Koszycki obracał na wszystkie strony dużą kopertę, zaadresowaną zupełnie nieznanem pismem. Kto go u dyabła tu odszukał i czego chciał... Tak te wieści przychodziły nie w porę, że miał chęć, nie czytając ich, list spalić. To, o czym dotychczas nie myślał wcale, że za dwa tygodnie trzeba będzie do Warszawy wracać, do biurowego jarzma, żmudnej, nudnej, ogłupiającej pracy, nagle stało się rzeczywistością tak, tak bliską, jak gdyby owe dwa tygodnie, które miał przed sobą skurczyły się nagle do jednej krótkiej minuty.

Jedenaście lat musiał pracować, żeby sobie na ten wypoczynek pozwolić i przejść ciężką chorobę, żeby go usprawiedliwić. I odrazu urywało się wszystko. Koniec... Zamajaczyło mu się przed oczami jego biurko, okryte ponaddzieraną ceratą, pośród papierów szklanka wystygłej herbaty i na spodeczku stos rozmokłych niedopałków.

Zły rozdarł kopertę.

Przeczytał list raz, wzruszył ramionami, jakby dziwiąc się czemuś i począł czytać na nowo.

List był krótki: suche, urzędowe zawiadomienie o spadku. Jeden z dalekich krewnych, stary bezdzietny kawaler zapisał mu umierając sto sześćdziesiąt tysięcy rubli.

— No, no — mruknał, kręcąc głową.

Przez pół dnia chodził jak oszołomiony, nie mogąc się oswoić z myślą, że jest bogaty, niezależny, że odtąd będzie już mógł żyć wedle własnego upodobania, wogóle zacząć żyć dopiero naprawdę, a nie przedłużać jak dotąd ciężkim wysiłkiem jednostajnej nudnej egzystencji. I to spadło na niego tak niespodziewanie, że chwilami nie mógł poprostu w zmianę swych losów uwierzyć. Szczęście przyszło w tej chwili właśnie, gdy o niem marzył. Jak w bajce...

Postanowił zaraz wracać do kraju. Po śniadaniu poszedł zaraz na pocztę i zatelegrafował do Warszawy. Potem zasiadł jak zwykle w kawiarni na placu, ale był zdenerwowany i już go wszystko nużyło. Pociąg jego odchodził dopiero o pierwszej w nocy, miał przed sobą jeszcze prawie cały dzień czasu i nie wiedział, czem go zabić. Pod wpływem nowiny, która go zelektryzowała, zbudziła się w nim nagle gwałtowna reakcja. Zapragnął towarzystwa ludzkiego, ruchu i wrzawy. Samotność i senna cisza zapadłej miejsciny w jednej chwili zaczęły mu tak ciężać, że pragnął uciec jak najprędzej.

Mrużąc oczy przed blaskiem słońca, pił wino i marzył... Przypominały mu się nagle pełne zachwytu opowiadania córki gospodarza hotelu o znakomitej wróżce, która mieszkała w miasteczku. I zbudziła się w nim chęć, żeby pójść do niej. Zasadniczo we wróżby nie wierzył, ulegał jednak mimowoli ich tajemniczemu urokowi. Poszedł „dla kawału“, ciekaw, co mu też owa chiromantka powie, teraz, kiedy otwierało się przed nim jakby zupełnie nowe życie.

Wróżka mieszkała w jednym z przylegających do placu zaułków w dwupiętrowej kamienicy. Po ciemnych

schodach Koszycki wdrapał się aż pod sam dach. W sieni powietrze tak było przesycone najrozmaitszymi kuchennymi zapachami, że mu aż tchu brakło. Wreszcie znalazł się w niewielkim pokoiku, któremu ukośnie ścięty sufit nadawał prawie że trójkątny kształt. Przyjęła go tam czterdziestoletnia może kobieta o pospolitych i mało inteligentnych rysach twarzy. W całej jej postaci tak dalece nie było nic mistycznego, że Koszycki, wszedłszy, z góry odrazu stracił zaufanie do wróżki. Wstrętem napełniła go przytem cała ta brudna nora i chciał się cofnąć, ale baba, czując wymykający jej się zarobek, chwyciła go za rękę i przemocą nieomal posadziła na krześle. Potem, nałożywszy na oczy złamane i związane białą nitką okulary poczęła studyować słoje jego rąk.

— Niedawno umarł jeden z pańskich krewnych i zapisał panu duży majątek — odezwała się po chwili.

Usłyszawszy to, uczuł zabobonny lęk. Nikomu się z nowiny, którą rano otrzymał, nie zwierzał i było najzupełniej niepojęte, skąd ta stara wiedźma mogła o tem wiedzieć.

— Chyba naprawdę czarownica — pomyślał.

Cisnęło mu się na usta pytanie, którego nie chciał zadać, ale jakiś przymus wewnętrzny sparaliżował mu wolę i po chwili odezwał się, maskując uśmiechem wzruszenie:

— Jak długo będę żył?

Wróżka zmierzyła go przenikliwym spojrzeniem.

— Takich rzeczy się nie mówi.

— Chcę wiedzieć.

Obiecał jej podwoić zapłatę.

— Powinien pan żyć jeszcze cztery lata — od-

parła stanowczym tonem, obejrzawszy mu starannie ręce.

Zaczął się jej wypytywać o różne wydarzenia ze swej przeszłości i na wszystko odpowiadała mu tak dokładnie, jakgdyby krok za krokiem śledziła jego życie.

Wróciwszy do hotelu, Koszycki położył się na łóżku i zaczął rozmyślać. To wszystko, co mu chiro-mantka powiedziała o jego przeszłości, tak dokładnie zgadzało się z rzeczywistością, że musiał we wszystkie jej przepowiednie uwierzyć.

— Mam więc przed sobą cztery lata życia — myślał, ochłonawszy z pierwszego przykrego wrażenia trwogi. Jestem bogaty, niezależny, chodzi o to, żeby jak najlepiej tych lat użyć. Wyzyskam wszystkie rozkosze, jakich życie może dostarczyć... zabiorę się do tego systematycznie, z planem, żeby nic... nic nie stracić, trzeba tylko plan obmyśleć. Uczuł się nagle niewypowiedzianie szczęśliwym. Świadomość chwili śmierci dawała mu poczucie takiej wolności i mocy, że wszystkie uczucia ludzkie wydawały mu się teraz szare, nikłe, marne.

Był zmęczony. Postanowił odłożyć wyjazd do następnego dnia. Pośpiesznie zjadł obiad i powróciwszy do swego pokoju, znów wyciągnął się na łóżku i znów oddał się rozmyśleniom, jak najlepiej, najwyrafinowaniej zużyć te cztery lata życia, które mu powstawały.

W nocy powiesił się na ręczniku. Kiedy nazajutrz gospodarz hotelu, nie mogąc się do niego dostukać, przywołał wachmistrza żandarmeryi i razem wywalili drzwi — w pokoju znaleziono już tylko zastygłe zwłoki.

## MAJOWE ŚWIĘTO.

### I.

**R**ano, pierwszego maja, Władek Zieliński, młodziutki technik, który się utrzymywał z robienia rysunków budowniczym, spotkał w Alejach Jerozolimskich nawprost dworca wiedeńskiego pannę Manię Szymkiewiczównę, urzędniczkę ze stacyi telefonów. Ujrzawszy ją uśmiechnął się wesoło i począł kręcić głową, jakby na znak wielkiego podziwu. Panna Mania zaczerwieniła się. Miała na sobie tego ranka nowy wiosenny kostyum z szarego materiału, który tak elegancko wyglądał, jak gdyby pochodził z najpierwszorzędniejszego magazynu.

— Fiu, fiu — krzyknął Władek, wyciągając ku niej rękę na powitanie — a to się pani wystroiła, nie poznałem pani z daleka.

Słyszac tę pochwałę, panna Szymkiewiczówna zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

— Święto — odparła, jak gdyby usprawiedliwiając się ze swej elegancyi.

Władek zresztą również był wystrojony świątecznie. Miał bardzo wysoki kołnierzyk, tak że musiał wyciągać szyję, żeby móc swobodnie poruszać głową, i jaskrawą czerwoną krawatką.

— A reszta gdzie? — zapytał po chwili.

— Ech, nim się oni wygrzebią, to już i pochód przejdzie — odparła panna Mania z lekceważeniem.

„Reszta“ była to jej rodzina, matka i dwie młodsze siostry, przezywane w języku domowym zazwyczaj krótko „smarkate“. Dzięki wpływom Władka i paru młodych ludzi, jego przyjaciół, którzy bywali stałymi gośćmi w domu państwa Szymkiewiczów, cała rodzina wyznawała zasady skrajnie rewolucyjne. Pani Szymkiewiczowa była wdową po urzędniku kolei nadwiślańskiej, który miał brata księdza na prowincyi. Otóż ten ksiądz, podobno bogaty, nie tylko po śmierci Szymkiewicza wbrew wszelkim nadziejom i oczekiwaniom nie przyszedł wdowie i sierotom ze znaczniejszą pomocą, ale wogóle tak się zachowywał, jak gdyby chciał zerwać wszelkie stosunki. To panią Szymkiewiczową usposobiło anti-klerykalnie. A ponieważ całe jej życie składało się z samych trosk i kłopotów, (nieboszczyk Szymkiewicz był porządny człowiek, ale strasznie słabego charakteru i właściwie mówiąc zapisał się), więc idee o niesprawiedliwości społecznej od dzieciństwa drzemały w niej nieuświadomione. Jak sama mówiła, nie potrzebowała ksiązek na to czytać, żeby wiedzieć, że na świecie wszystko się na wzajemnym wyzysku opiera.

Panna Mania miała za złe matce to łączenie spraw ogólnych ze zmartwieniami osobistymi. Dlaczego — tego by nigdy nie potrafiła była ściśle określić słowami. Zdawało jej się czasami, że ma w głowie jakąś melodyę i nie może jej wyśpiewać, mimo że ta melodia wciąż i wciąż ją prześladowała. Tak samo pewne myśli nie chciały jej się nigdy układać w słowa — sama czuła je doskonale, ale tak właśnie jak się czuje muzykę.



Kilka kroków uszli w milczeniu. Panna Szymkiewiczówna podniosła do ust rękę, tłumiąc ziewanie, od którego nie mogła się powstrzymać. Władek spostrzegł jej ruch.

— Nie wyspała się pani dziś?

— Nie — odparła z uśmiechem.

Rzeczywiście miała oczy zaczerwienione zlekka od bezsenności. Położyła się już o świcie, gdyż całą noc zajęło jej wykańczanie kostiumu, który sama szyła od dawna, przejęta tą radosną myślą, że go właśnie pierwszy raz włoży na pierwszego maja.

— I ja się późno położyłem — odezwał się Władek.

— A co pan robił?

— Nic. Byłem u jednego faceta i zagadaliśmy się. Potem już koło pierwszej wyleźliśmy na miasto i wstąpiliśmy jeszcze do baru na piwo. Tam spotkaliśmy tego rudego żydka Perlberga.

Umilkł. Przypomniała mu się wczorajsza żywa sprzeczka z Perlbergiem. Zostało mu się po niej nie miłe wrażenie niesmaku. Bo właściwie Perlberg miał rację najzupełniejszą, ale Władek nie chciał jej przyznać i sprzeczał się z nim naumyślnie, ulegając jakiejś nerwowej, niepohamowanej chęci opozycji. Ostatecznie doprowadziło go to do tego, że zajął już nieomal nacyonalistyczne stanowisko i palnął w rozmowie parę głupstw, których żałował dzisiaj. W głębi duszy Władek bardzo nie lubiał żydów. Było to uczucie, którego się sam przed sobą zapierał, wiedząc, że podział na narodowości wymyślili burżuazyjni uczeni, opłacani przez fabrykantów, ale czasami, zwłaszcza gdy był podniecony trochę, nie mógł się powstrzymać, aby nie dać swej niechęci ujścia.

Po chwili ciągnął dalej.

— Siedzieliśmy tam, dopóki nas nie wylali. Potem odprowadziłem Bolka do domu. Strasznie się wczoraj szpicle po mieście kręciły. Jakem wracał, spotkałem trzech na samej Marszałkowskiej.

— Pan odrazu szpicla pozna na ulicy.

— A cóż to trudnego?

Panna Szymkiewiczówna uśmiechnęła się zlekka. Ta spokojna pewność siebie, z jaką Władek mówił, budziła w niej nieokreślony podziw dla jego doświadczenia i sprytu. I w tym poczuciu, że ona sama nigdyby mu nie potrafiła dorównać, było coś niesłychanie rozkosznego.

— Ale, widzi pani, że ani jednej dryndy dziś niema na mieście.

— Nie.

Byli ze sobą na „panie i pani“. Tak się jakoś dziwnie stosunek ich ułożył. I choć oboje zdawali sobie sprawę, że ta forma gramatyczna jest przeżytkiem opartej na fałszu etykiety burżuazyjnej, jednak zachowywali ją w rozmowach.

— I wszyściuteńko pozamykane.

— Tak jeszcze nigdy Warszawa nie wyglądała... Nawet w pierwszy dzień Bożego Narodzenia.

Oboje parsknęli wesołym śmiechem i oczy zabłyszczały im radością i dumą.

Świąteczny nastrój miasta udzielił im się, przejął ich uroczystą powagą. Mimowoli wzięli się za ręce i szli w milczeniu, zapatrzeni przed siebie. W dalekiej perspektywie Alei Jerozolimskich nie widać było ani jednej dorożki, ani jednego wozu, nawet chodniki były puste, gdzieniegdzie tylko przed bramami domów wystawali jacyś ludzie. I wszystko aż się skrzyło od słońca — zdawało się, że ulica jest szersza, a ściany

domów jaśniejsze niż zwykle, jakby świeżo wymyte. Wysokie, smukłe konary drzew, sięgające trzeciego piętra kamienic, nie straciły jeszcze wiosennej czarno-ści i po przez młodą zieleń niedawno rozkwitłych liści, przeglądały muskularne ramiona gałęzi. Od czasu do czasu z dołu od strony Wisły powiewał świeży, łagodny wiatr i wówczas liście na wierzchołkach drzew mieniły się jasnym blaskiem, jak gdyby były z jednej strony srebrne.

Tak było cicho, że kroki rozlegały się na chodniku jak w nocy. Raz czy dwa razy tylko z poza parkanu, oddzielającego ulicę od plantu kolei wiedeńskiej, doleciał krótki urwany świst lokomotywy i po nim głuchy szcęk uderzających o siebie wagonowych buforów, który zamierał z metalicznym pobrzękiem.

Władek i panna Szymkiewiczówna szli, jakby olśnieni słoneczną ciszą. Nagle ona, obejrzawszy się mimowoli, ścisnęła go kurczowo za rękę.

— Widzi pan...

Odwrócił głowę. Na placu przed dworcem kolei wiedeńskiej o kilkaset kroków za nimi wyciągnięty w długą linię stał patrol piechoty. Zdaleka tak to wyglądało, jak gdyby mur wyrósł nagle z pod ziemi i zagroził wylot ulicy.

— Idą...

Władek wydał pogardliwie usta. Ale się zatrzymał i z zaciekawieniem patrzył na posuwającą się kolumnę wojska. Oddział jednak, doszedłszy do rogu pierwszej przecznicy, zmienił nagle szyk i skręcił w bok. Wtedy oboje zaczęli się śmiać i przekpiwać z żołnierzami.

Władek wyciągnął z kieszeni rewolwer i błysnął nim przed oczami towarzyszki.

— Ładna sztuka.

— Ma pan? — krzyknęła zdumiona.

— Wczoraj dostałem.

Z jakimś nieokreślonym wzruszeniem patrzyła na czarną oksydowaną lufę brauninga, z której blask słońca krzesał niebieskawe połyski.

Ale trzeba było przyspieszać kroku. W miarę, jak się zbliżali do końca Alej, ruch na ulicy się zwiększał. Zewsząd nadciągały gromadki manifestantów. Niebawem przeszedłszy przez plant kolejowy, spotkali na ulicy Żelaznej pierwsze szeregi pochodu, który już ciągnął, ale jeszcze nieuformowany i w nieładzie. Odrazu znaleźli się w tłoku. Pannie Mani żwawiej забиło serce. — Niech się pani trzyma mnie teraz — szepnęła jej Władek — żeby się nie pogubić. Ujęła go silnie pod rękę. Aż jej się w głowie zakręciło od tego mrowia ludzkich twarzy i gwaru głosów, który falował, jak litania w kościele. Władek witał się na prawo i na lewo. — To wszystko nasi — objaśniał ją z dumą. Ktoś nawoływał: „Towarzysze do szeregu!“ Coraz silniej trzymała się Władka, na bladą anemiczną twarz wystąpiły jej rumieńce, serce poczęło bić tak mocno, że przełożyła parasolkę do tej ręki, którą trzymała pod ramię Władka, a drugą wolną przycisnęła do piersi. Włosy jej się potargały, czuła, że zgubiła dwie szpilki, ale już nie czas było poprawiać. Gdzieś wybuchła gwałtowna sprzeczka: — Nie pchać się!... Po co to bachorów ze sobą ciągać!... — Nagle zbladła, gwałtowne wzruszenie zatamowało jej oddech w piersiach... Pierwsze nuty rewolucyjnej pieśni uderzyły w powietrze.

## II.

Ochłonawszy z pierwszego wrażenia Mania Szymkiewiczówna podchwyciła słowa pieśni i zaczęła śpiewać razem z innymi. Szli w pierwszych szeregach. Władek maszerował rozpromieniony i uszczęśliwiony. Ponad głowami tłumu zakołysało się w powietrzu kilka czerwonych chorągwi. Wiatr trzepotał niemi zlekka i cienie tak się rozkładały na materyi, że zdawało się naprawdę, jakby chorągwie były unurzane w żywej krwi ludzkiej. Władkowi aż dusza rosła z uciechy. Wsunął rękę w kieszeń i nerwowo ścisnął rękojeść brauninga. Nigdy w życiu jeszcze nie czuł się tak silnym, jak w tej chwili. Ludzie szli ciasno, tak, że się jedni wciąż ocierali o drugich i Władek zatracił chwilami zupełnie poczucie swej odrębności od reszty tłumu. Zdawało mu się, że gdyby pociąg kuryerski między nich wpuścić, to i tenby nie przeszedł... lokomotywa ugrzęzłaby w tłumie...

Władek Zieliński należał do organizacyi od kilku miesięcy i był tak zwanym w języku partyjnym „dromaderem“, to jest praktykantem, używanym do pomniejszych posług. Rozlepił proklamacye na mieście, przewoził z miejsca na miejsce transporty literatury rewolucyjnej, czasem broń, którą gromadzono, przygotowując się do rozpoczęcia terroru. Władek praco-

wał dla partyi z zapałem i szczerem poświęceniem, jednej rzeczy nie potrafił tylko, mianowicie bronić jej w dyskusjach od zarzutów przeciwników, należących do innych organizacyj. Bo, właściwie mówiąc, te wszystkie różnice obchodziły go bardzo mało, nie rozumiał jak się można było nimi przejmować. Działalność rewolucyjna pociągała go romantycznym urokiem niebezpieczeństwa i grozy. Sam wtedy czuł się w swoim żywiole dopiero, kiedy trzeba było wymknąć się łapaczowi, który go śledził na ulicy, albo będąc obładowanym rewolwerami przejść przed samym nosem patrolu policyjnego.

Oczywiście w samych początkach był nieśmiały — przez brak przyzwyczajenia, bo odwagi posiadał zawsze dość. Ale kiedy pierwszy raz podczas przeprowadzki tajnej drukarni, którą trzeba było pospiesznie w bezpieczne miejsce usunąć, zobaczył za sobą na ulicy łapacza, taki go strach obleciał, że do dziś dnia wspomnienie tej chwili przejmowało go wstydem. Zaczął kołować po ulicach, myśląc naiwnie, że w ten sposób uda mu się zmylić czujność ajenta. Ale tamten krok w krok szedł za nim. Władka rozpacz wreszcie ogarnęła. Uczuł się najzupełniej bezsilnym. I na Żytniej przechodząc koło kamienicy, w której mieściło się konspiracyjne mieszkanie, wpadł na górę. W mieszkaniu zastał czterech robotników, starych wygów, jeszcze z pierwszego „proletaryatu“ tak otrząskanych z niebezpieczeństwami rewolucyjnego życia, że nic na nich nie wywierało wrażenia.

— Szpicel za mną chodzi — krzyknął przestraszony. Tamci zaczęli się śmiać wszyscy.

— Przyprowadź go tu do nas... przekpiwał jeden. A drugi dodał:

— A stójkowego gdzie na mieście nie widziałeś?  
I kpili coraz gorzej. A on stał rozczzerwieniony, nie wiedząc, co na te wszystkie szyderstwa odpowiadać.

Wreszcie najstarszy z tych, co byli w pokoju, mały, szpakowaty, śniady na twarzy jak cygan odezwał się poważniejszym tonem:

— Nie trzeba się bać... Dla naszego brata to swoja rzecz, że łapacz za nim chodzi, po cóżby byli łapacze... Drugi raz tylko, jak będzie laźł za tobą, to mu adresów nie pokazuj... A tego „zrób“, żeby się tu nie plątał.

— Kiedy rewolweru nie mam — bąknął Władek.

— To tak gadaj odrazu.

I dali mu „bulldog“ z żółtą drewnianą rączką. Gdy sobie teraz przypomniiał tę scenę, to najbardziej chciało mu się śmiać z tego rewolweru. Szybko wybiegł na ulicę i począł się rozglądać dookoła, nie mogąc dostrzedz w pierwszej chwili ajenta. Zdjął go lęk, że może łapacz poszedł do cyrkułu po patrol i „nakryje“ zebranych w mieszkaniu. Znów sam nie wiedział, co robić. Ale łapacz był na stanowisku, odszedł tylko o kilkadziesiąt kroków i przechadzał się przed bramą po przeciwległej stronie ulicy. Władek sam mu się wtedy nawinał przed oczy... Zmierzch już zapadał, począł mrzyć drobny deszcz i ulica opustoszała... Prowadząc łapacza za sobą, Władek wciąż, wciąż zwalniał kroku, słyszał wyraźnie odgłos jego kroków i nie oglądając się czuł, że odległość między nimi wciąż się zmniejsza. Powoli odciągnął w kieszeni cyngiel od rewolweru. Zacisnął zęby, żeby powstrzymać nerwowe drżenie ust. Potem, odwróciwszy się nagle, prawie na oślep strzelił przed siebie. Jakaś dziewczyna wybiegła z bramy na środek ulicy i zaczęła krzyczeć piskliwym głosem:

— O... o... szpicla zabili!...

A jemu odwinęła się kieszeń i w żaden sposób nie mógł rewolweru schować z powrotem. Aż palto rozdarł... Uciekłszy do zakrętu ulicy zwolnił kroku, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Ale wciąż drżał jak w febrze. Dopiero wydostawszy się na Leszno, ochłoniął trochę i wsiadłszy w dorożkę, kazał się wieść na plac Świętego Aleksandra.

Odżyła mu ta scena teraz nagle w pamięci, bo jeden z uczestników pochodu podobny był trochę z twarzy do owego łapacza. I myśląc o niej, czuł, jak się sam od owego czasu zmienił, teraz miał nerwy jak z drutu...

Pochód skręcił w Aleje Jerozolimskie. Władek szedł w milczeniu. Z początku śpiewał razem z innymi, ale odrazu wziął za wysoko i zachrypnął. Panna Szymkiewiczówna zmęczona także przestała śpiewać. Władek pochylił się ku niej:

— Wspaniale się udało, prawda?

— Cudownie, cudownie — odparła rozentuzyzmowana.

I nagle tak silnie przytuliła się do niego, że aż poczerwieniał zmieszany. W tej jednak chwili zmieniła mu się w oczach... Zarumieniona, z rozwichrzonymi ponad czołem jasnymi włosami była cudna, jak zjawisko, zdawało się, że jakiś blask bije od niej promienny... Chciał coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle, roześmiał się tylko cicho i wyciągając rękę, objął ją w pół i przycisnął do siebie. Poddała mu się, choć byli między ludźmi w tłumie... I tak szli kilka chwil. Panna Szymkiewiczówna przymknęła oczy. Spostrzegł to i obejmując ją coraz silniej, prowadził ostrożnie, ostrożnie...



Nagle spostrzegł przerażony, że z pod jej przymkniętych powiek wypłynęły dwie łzy na policzki.

— Czego pani płacze?

— Nic... nic...

Podniosła ku niemu głowę i już jej oczy śmiały się radośnie, choć jeszcze były załzawione.

Władkowi aż dech zatamowało w piersiach. Teraz dopiero wszystko zrozumiał naprawdę.

„A to dureń ze mnie“ — krzyknęło mu coś w duszy, ale tak wesoło, jakby to była najszczęśliwsza nowina. Gdy tylko poznał Szymkiewiczów, przed kilkoma miesiącami odrazu przylgnął do nich. Z początku przychodził raz na tydzień, jak inni, później coraz częściej, i tak się wreszcie zadomowił, że już dnia nie było, żeby choć na pół godziny nie wpadł. Ale nigdy się nad tem nie zastanawiał, co go tam właściwie ciągnęło. Pochłonięty partyjną robotą, marzeniami o rewolucyjnym zwycięstwie nie miał czasu myśleć o innych rzeczach, a raczej czas miał, ale inne myśli nie przychodziły mu do głowy... Mańka, Mańka — powtarzał w duszy, patrząc na nią z jakimś nieznanem mu, serdecznem, miękkim roztkliwieniem.

— Niech mnie pan tak nie trzyma... ludzie patrzą — szepnęła cicho.

Puścił ją, ale wzięli się za ręce i tak szli dalej.

Czerwony sztandar huczał ponad głowami tłumu, każda strofa zrywała się, jak straszny krzyk buntu i rozpaczy. Podnieceni rytmem melodyi, która elektryzowała nerwy, ludzie szli równo, twardo, i w każdym roście poczucie takiej mocy, jak gdyby on sam był całym tysięcznym tłumem. Łagodne wiosenne słońce stroiło przed nimi ulicę w złote blaski i zdawało się,

że wszystko ustępuje im z drogi, że już idą po zwycięstwo i tryumf.

Władek szedł, jak zahyponotyzowany. Doznawał chwilami wrażenia, że nie sam idzie, tylko tłum unosi go, jak fala. Z uczuciem niewypowiedzianej rozkoszy, która przepełniła mu duszę, łączyła się jeszcze radość, że to, co się między nimi stało, stało się właśnie podczas pochodu, w uroczysty świąteczny dzień, o którym marzył razem z innymi oddawna.

— Nie zmęczona pani — odezwał się nagle, czując, że panna Szymkiewiczówna opiera mu się coraz mocniej na rękę.

— Nie, nie — odparła gorączkowo.

Po krótkiej, jak mgnienie oka, chwili upojenia, która omroczyła jej myśli i zmysły, zbudził się w niej nagle nieokreślony wstyd i żal, coś jakby wyrzut sumienia, że się nie mogła oprzeć swemu szczęściu, podczas gdy wszyscy dookoła przejęci byli tylko jedną wspólną myślą o krzywdzie, walce i zwycięstwie. Wstyd jej było spojrzeć nawet na Władka. Tuliła się do niego, bo to już wydawało jej się czemś naturalnem i koniecznem, ale nie mogła sobie darować tego samolubnego wybuchu. Nękała ją trwoga gorsza od innych, że i we Władka oczach przez to zmaleje.

Tłum zakołysał się nagle tak gwałtownie, że ludzie powpadali na siebie. Mignął jej w oczach wysoki pomalowany wapnem parkan i na nim niebieska tabliczka z białą cyfrą 101.

### III.

Poza ścianą jacyś ludzie rozmawiali podniesionymi głosami. Od czasu do czasu do uszu Władka dolatywały oddzielne wyrazy. Drażniło go to, bo każdy taki wyraz rozrywał mu myśli. A on chciał ciszy, ciszy, żeby móc wszystko sobie przypomnieć.

Siedział na łóżku skulony, jakby zastygły w jednej nieruchomej pozycji. Okno było do połowy zasłonięte roletą i pokój tonął już w zupełnym mroku.

Głowa go bolała od szalonego, rozpaczliwego wysiłku pamięci. Jedną rzecz chciał sobie przypomnieć i nie mógł. Panna Szymkiewiczówna zaczęła coś do niego mówić: „panie Władku“. W tej chwili poblądła nagle i cicho bez westchnienia osunęła mu się na ręce. Na jej szarym żakieciku zaczerwieniła się niewielka plama, jak gdyby jej kto różę przypiął do piersi. Jeszcze parę razy poruszyła ustami i wyślizgnąwszy mu się z rąk, upadła na ziemię. Usłyszał, jak stuknęła ciężko głową o kamień.

Otóż miał wrażenie, że po tem „panie Władku“, coś, coś powiedziała jeszcze, ale co, tego właśnie w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć. Zamroczyło mu pamięć zupełnie.

Był tak znużony, że chwilami nie tracąc świadomości zapadał w półsen. Wtedy wszystko płało i mieszało mu się w głowie.

Do pokoju wszedł wysoki szczupły mężczyzna w mundurze studenta politechniki.

— Jakże wam towarzyszu?

— Dobrze — odparł spokojnie.

I po chwili machinalnie dodał:

— A co na mieście?

— Teraz spokojnie, odparł student, zbliżając się do okna.

— Otworzę, bo tu duszno — dodał.

Władek skinął potakująco głową.

Kiedy student uchylił okna, doleciał ich z ulicy głuchy tupot kopyt końskich po bruku.

Powoli przeciągając się Władek wstał z łóżka. Taki był osłabiony, jak gdyby przebył długą ciężką chorobę.

— Nie wiecie, dużo pozabijali?

— Sporo.

Zaklął z cicha.

— Ale wam się udało — ciągnął politechnik. — Macie tu ubranie, dodał wskazując na krzeselko, które stało koło łóżka. Zdaje się, że będzie na was dobre.

— A moje?

— Przecież wasze na strzępy podarte.

Teraz dopiero przypomniał sobie, że przeskakując przez parkan zawadził o jakiś gwóźdź marynarką i rozdarł ją przez całą długość. Raz po raz bez związku przypominał sobie jakieś szczegóły ucieczki. Starał się je usystemizować. Kiedy Mańka upadła, już było dookoła pusto. Tylko trupy leżały na bruku. Dwie kulki świsnęły mu koło uszu. Skoczył pod parkan i założywszy nowy magazyn zaczął sam strzelać. Potem ktoś pociągnął go z tyłu i nagle znalazł się na dużym podwórzu, gdzie były doły z wapnem. Zo-

stało mu wrażenie oślepiającej białości. Wdrapał się na dach jakiejś drewnianej szopy i stamtąd skoczył między deski. Teraz dopiero zdjął go podziw. Tak skoczył, jak gdyby mu skrzydła u ramion urosły.

— A tak, udało mi się, odezwał się z nieokreślonym uśmiechem.

Student nic mu nie odpowiedział. Usiadł na krześle, zapalił papierosa i zamyślony zaczął pogwizdywać z cicha. Władek znów się wyciągnął na łóżku. Założył ręce pod głowę i leżał nieruchomo, wpatrując się w czerwone światełko papierosa, które żarzyło się w ciemności. Rozmowa w sąsiednim pokoju umilkła. Przez otwarte okno płynęło z ulicy duszne wiosenne powietrze i raz po raz dolatywał z dołu miarowy tupot koński przejeżdżających patroli.

Władek zatrząsł się nagle, jak w febrze. Znów najwyraźniej stuknęło mu w uszach, tak, jak wtedy, gdy panna Szymkiewiczówna uderzyła głową o kamień.

— Na poprawkę — pomyślał.

I zły, że mu to wciąż i wciąż na myśl wracało, zaczął kłać głośno.

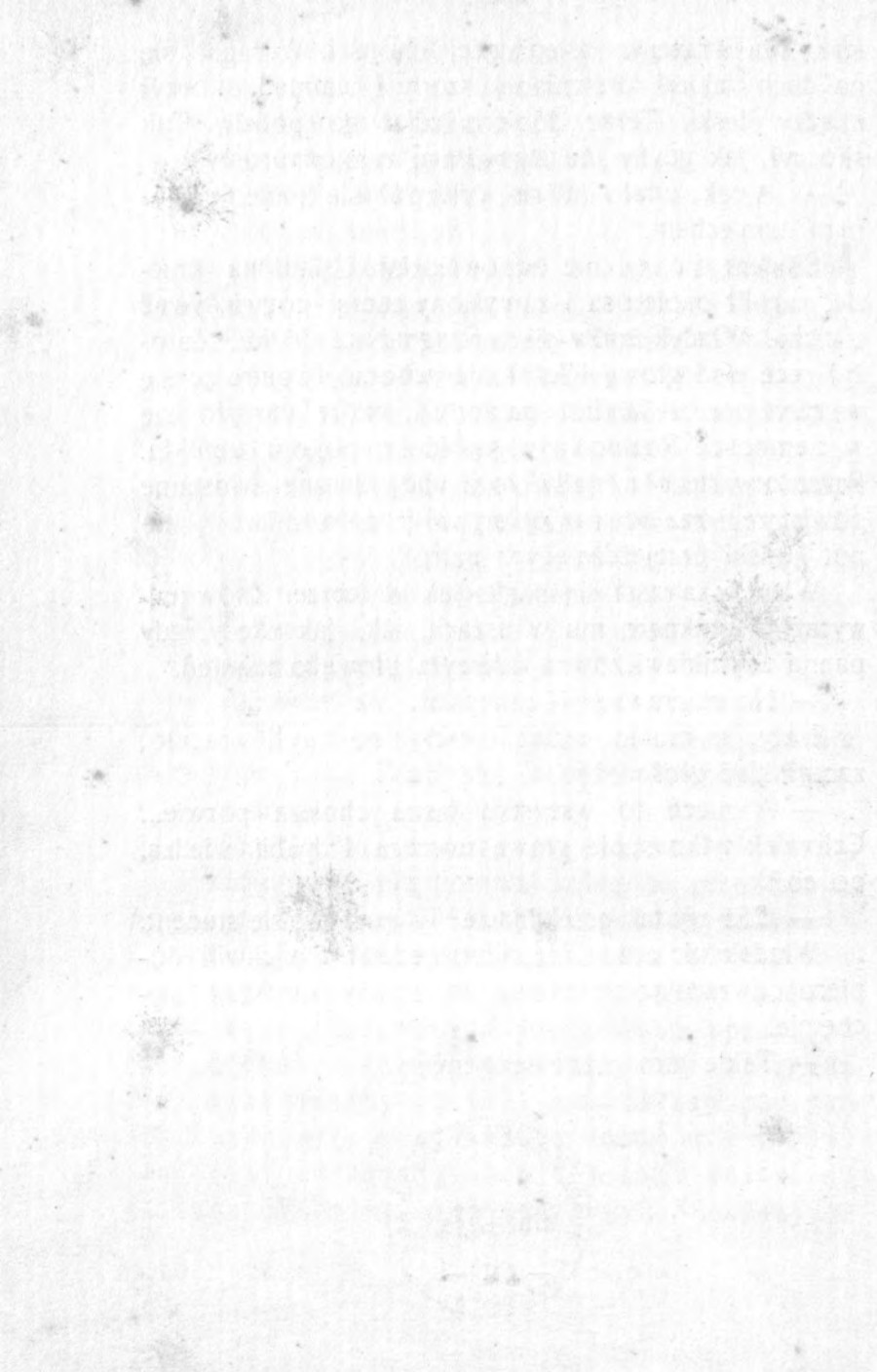
— A niech to wszystko jasna cholera porwie... Człowiek tylko sobie głowę zawraca i dyabli wiedzą, po co?

— Cóż wy tak przeklinacie? — zadziwił się student.

Władek nic zrazu nie odpowiedział. Po chwili dopiero odwracając się twarzą do ściany mruknął niechętnie.

— Takie tam różne sentymenty...





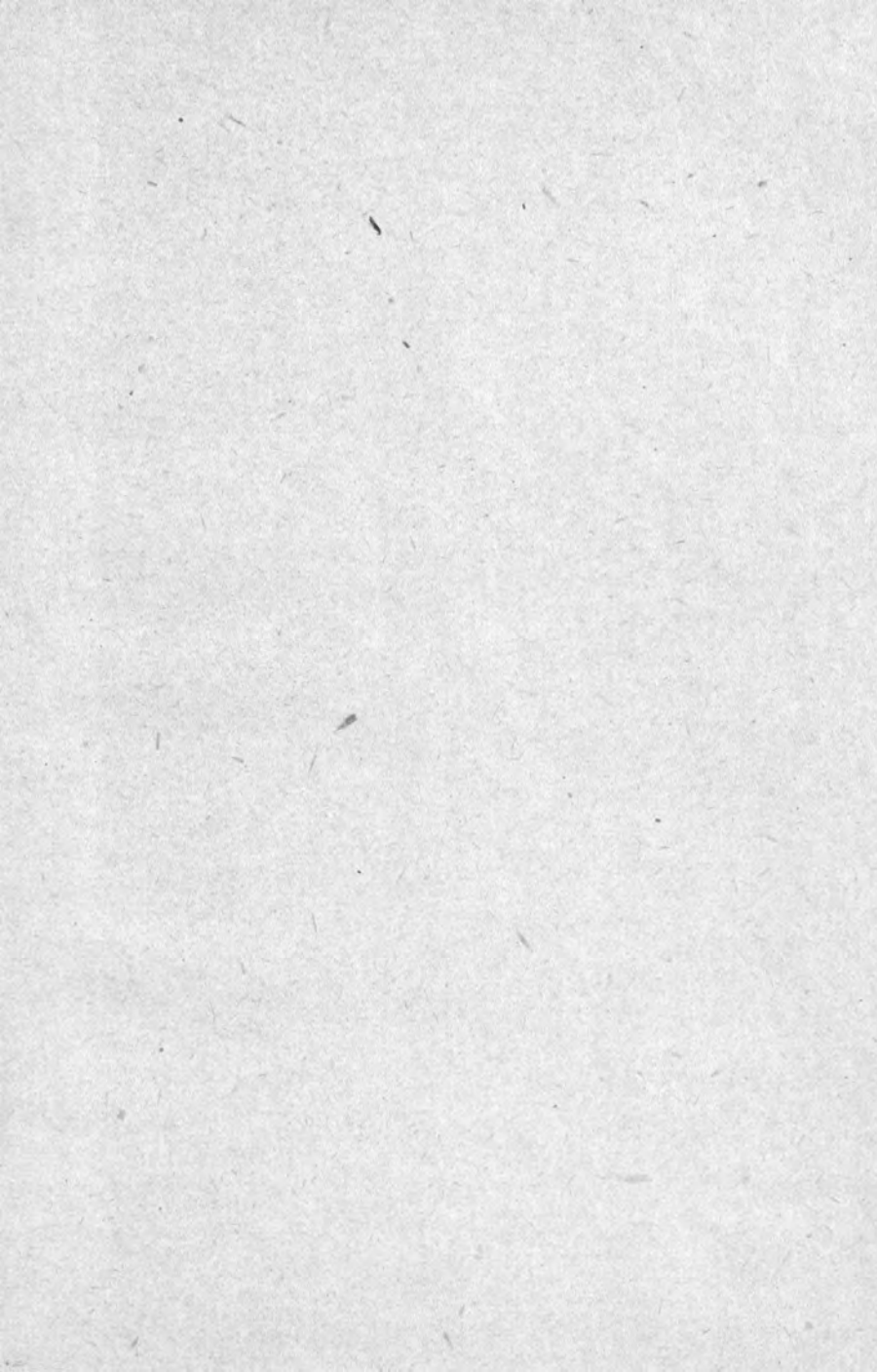
## SPIS RZECZY:

ZBRODNIA . . . . .	1
ZWYCIĘSTWO . . . . .	6
ZŁODZIEJKA . . . . .	13
IDEALNY LOKATOR . . . . .	18
DWA ŚWIATY . . . . .	26
WYRODNE DZIECKO . . . . .	33
DOBRA OPINIA . . . . .	47
UCZEŃ SHERLOCKA HOLMESA . . . . .	50
FOLIE DE LA VITESSE . . . . .	59
CHOROBA . . . . .	62
FIZYOLOGIA . . . . .	72
CODZIENNE TROSKI . . . . .	81
W GABINECIE . . . . .	93
TĘSKN OT . . . . .	103
FLUID . . . . .	112
WRÓŻBA . . . . .	121
MAJOWE ŚWIĘTO . . . . .	127

---







18. -  
576/4.11.66



